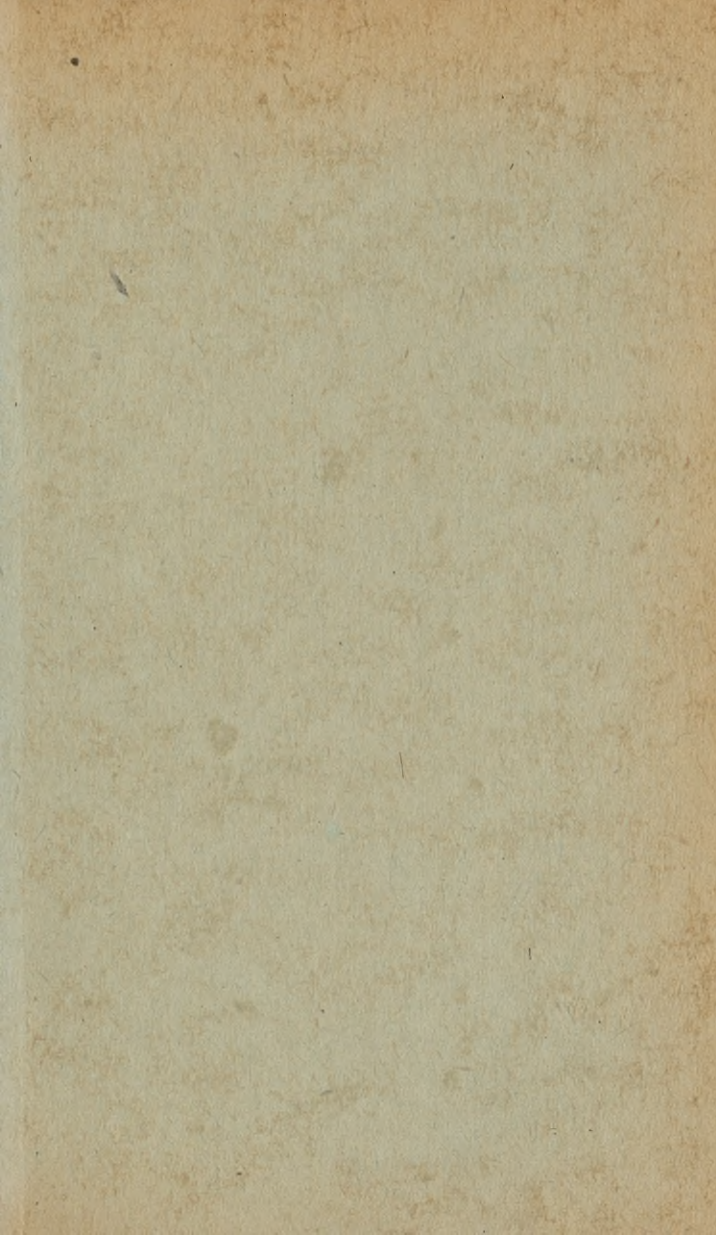




Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297034



„TWOJE ZIEMIE... TWOJE WODY...”

BIBLIOTEKA GEOGRAFICZNA
OPISY MALOWNICZE I PODRÓŻE

Konrad Chmielewski.

Jz. C

33

„Twoje ziemie...
twoje wody...”

SZKICE MALOWNICZE Z KRAJU



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

—
1907



I 37854



Twoje ziemie... twoje wody...

Odpooczywałem pod limbami na skrawku moreny Morskiego Oka, patrząc na granatowo-zieloną toń wody uśniętej w przedwieczornej ciszy.

Mięguszowiecki gorzał w roztopionym złocie zachodu, — a po całej turni Miedzianego gonіły się jasności i blaski ostatnich uśmiechów słońca.

Była to... Była jednym słowem jedna z takich minut uroku, której nie oznaczył dotąd ani jeden z poetów w 50-ciu poświęconych perle Tatr sonetów, którą nie malował dotąd żaden z przysięgłych i wypadkowych jej portrecistów dla tej prostej przyczyny, że... nie byli wtedy ze mną razem pod limbami.

Iluz to doprawdy serdecznych uniesień i szczerých zachwyków są świadkami te limby samotnice!

Przyjeżdża tu z Zakopanego ciągle rozmaite ludzkie mrowie ze wszech kresów, zapadłych dolków i nieskończonych szlaków tej „od morza do morza.” Staje to jak przed ołtarzem w dymie kadzielnic, na chwilę czy na dłużej (ça depend od indywidualizmu) zapamiętywa się w zachwycie—i unosi ze sobą napowrót do kieratu swego żywota słoneczną dumę i hetmańskie przekonanie, że jest u nas takie miejsce, gdzie bez ujmy honoru narodu stanąć może czarodziejski, wymarzony zamek tego, co mu „na imię będzie czterdzieści i cztery.” Jeżeli mówimy z głębokim przeświadczeniem, że „u nas wszędzie jest pięknie,” to tu przed tym bajecznym majestatem i potęgą wyrazu Tatr, przed tym skamieniałym tytanem dziwnego smutku, dusza polska pada pod stopy Mnicha i więcej nie ma nic do powiedzenia o sobie — wędrownicy.

Te „godziny cudu”—to momenty zajrzenia głębią mózgu w tajniki polskiego uroku. Bo i na cóż szukać dalej wygasłych ognisk dawnych koczowisk, na co nurzać stopy w krwawych morzach smętnicy, kiedy te — uchodzące cicho od doczesności i gwaru — limby samotne zdmuchują balsamicznym swoim tchnieniem z głowy proch pokutnika. Ot tam gdzieś w tajemnym Bożym Tumie pod palcem przeznaczenia wznosi się w górę z księgi karta dziejów naszych... wznosi się i spada szeleszcząc... Powiedz ty w wieczornych zorzankach i zachwycie dumy tonący Mnichu, co tam jest na niej, jakich zasłuchany czekasz ty wieści z północy?

.

Pamiętam moje pierwsze w życiu lekcje krajoznawstwa. Pan Jan Frankowski — mój nauczyciel — dużo w życiu zwiedził, długo był na Wschodzie, dużo widział, długo cierpiał, wiele kochał, to też astmatyczny nieprzerwany kaszel bynajmniej nie zmniejszał barwy, rytmu i tonacji jego opowiadania, które brzmiało w uszach dziecka jak baśń śpiewana. Pamiętam... tak... oto go widzę. Siedzi przy stole śmiertelnie chudy i żółty w wyszarzanym czarnym surducie, czarne kudły spadają mu aż na oczy, oczy mu się świecą jak węgle i patrzą na mnie z nieubłaganą zaciętością. Stuka palcem w stół i ciągle mówi: „a więc tak na wschodniej, jak i na zachodniej granicy kraju masz pola krwawych zapasów i szlaki łupieskie, któremi...!!” Hej! ścisnęły się dziecinne pięści, rwał się od ziemi w światy zbudzony ruchem krwi serdecznej duch młody... A pan Jan patrzył z nieubłaganą, badawczą zaciętością w oczy, kaszlał, stękał, stukał palcem w stół i starganym, urywanym głosem opowiadał wieść mistyczną.

Pamiętam... pan Jan bez uprzedzenia, bez przyczyny uprzedniej zniknął dnia jednego z horyzontu mojego, a jak się potem dowiedziałem, i z horyzontu Warszawy. Pozostała mi po nim jego własnoręcznie wykonana duża mapa na ścianie z podkreślonymi grodami, album różnych widoków i portretów i długa drewniana pałeczka do pokazywania na mapie. Zniknięcie owo zdarzyło się akurat pod tę porę, kiedy w głowie najmizerniejszego i najslabszego jego ucznia, t. j. mojej, zjawiała się największa ilość „czemu”?, oczekujących pod jego adresem expedycji. Póź-

niej... życie w dalszym ciągu w zastępstwie panna Jana—również mi często odmawiało odpowiedzi na całe szeregi większych lub mniejszych zagadnień z dziedziny tej nauki „o gnieździe...” Są bowiem chwile, kiedy i t. d. nie wystarczają nam zupełnie nawet najbardziej dogmatyczne opowiadania o „krainach przejściowych,” o linjach etnograficznych i granicach urojonych, tam gdzie powinny być twierdze i mury, mocne jak góry i rzeki. I oto człek wędruje od morza do morza, od gór wysokich do piachów mazowieckich i pyta się ziemi — matki: czemu?.. Ci co umieją zaglądać w oczy ludzkie i do dusz patrzeć, może więcej wiedzą, bo ziemia matka milczy...

.
Czemu w przeszłość i zapomnienie odchodzą razem z cisami te limby piękne? Może dla tej samej przyczyny, dla której i pan Jan opuścił pielesze „jednej i niepodzielnej” ojczyzny? Dziwne to są natury u tych iglastych, czy kolących, jak wolicie! Taki cis, o ile rośnie dziko t. j. tak, jak się jemu podoba, to dorasta rozmiarów wspaniałych (10 metrów obwodu) i przyzwoitego wieku (przeszło 2000 lat), hodowany zaś w ogrodzie jest tylko ozdobnym krzewem. Limba ucieka ponad strefę drzew liściastych w Tatrzy i rośnie wolna... na Syberji. A wszak były czasy, kiedy tak jedno, jak i drugie drzewo królowało w borach nizinnych Polski i nadawało cechę odpowiednią florze miejscowej.

My zawsze z utęsknieniem gotowiśmy się zwracać oczyma ku tej przeszłości, która już się wrócić nie może, i oplakiwać wygasłe formy

i gatunki, nie bacząc na to, że życie antypatycznie nie znosi stałości rutyny i szematów.

Życie to pieśń grana na złotych strunach słońca o świecie promiennym przez cudną harfiarkę — przyrodę. Słuchałaś wstępu — recitativa, w którym ci brzmiały hejnały i hasła dzwonów pękniętych i rozłupanych, słuchajże teraz — limbo—potężnego—jako morze hymnu młodego nowego życia, co w blaskach idzie panować na grobach i uroczyskach! Wzdychasz balsamicznym wiewem i szepczesz igłami jakieś zaklęcia... czy skargi... Oto uszedł z nizin polski orzeł biały i również — jak ty — gdzieś się tuła w niedostępnych borach Beskidów... Oto zniknął z ziemi ciemny, gęsty bór, który jak włosiennica okrywał całą Polskę, tuląc w swoich ostępach tajemnicę bytu i zagadki przyszłości od wraźych spojrzeń i łupieskich szponów... Oto zmętniała, opadła smutnie i zbiedniała Wisła — bajeczna wód nizinnych królowa, która od czasów prasłowiańskich zbierała na swe tonie wszystkie echa i wieści z całej krainy od morza do morza!

Na szczyty Mięgoszowieckiego kładzie się od stawów noc ciemna—lazurowa, koicielka tęsknicy. Mnich skrył się w muślinach mgieł wiotkich, płasających;—od stawu i zwałów skalnych, za nim leżących, powiało chłodem nocy i jakąś dziwną martwością, jak gdyby się nagle rozwarły wrota wielkiego pustego cmentarza - na szczerym polu. A lodowcowym szlakiem od Czarnego — jak pulki ciemnych, tajemniczych milczących demonów, pędzących hen gdzieś pośpiesznie na

uroczysko, walić się zaczęły w dół z pośpiechem
chmury ciemne, błędne, poszarpane... I staw stał się
czarny, gładki jak olbrzymia tafla wypolerowa-
nego granitu na potwornie wielkim i smutnym
grobie... a limby stały cicho - jak cyprysy. I za-
błysło skądś nieznanie tajemnicze światelko — od
którego srebrzyć się, mienić i migotać poczęła
jakaś fala niespokojna na środku stawu. I oto
noc na tafli grobowca - jeziora pisać mi poczęła:
„Jam jest piastunka porannych promiennych zórz...”
a limby poczęły szumieć cicho... w dal... daleko...



Nad Popradem.

Po stromym i ślizkim zupełnie od rosy porannej zboczu wysokiej przełęczy wspinałem się z trudem w górę. Za mną, w dole już, pozostała sinawa regła, ziejąca balsamiczne wonie i świeży dech żywiczny—jak wielka, boża, u stóp ołtarza postawiona kadzielnica. Przede mną mokra perć szerokiej, spadzistej połoniny, która w świetle wschodzącego słońca mieni się wszystkimi barwami, od srebra i seledynu aż do granatu. Tu i ówdzie z ziemi wytryskują pośród mchów małe strumyczki, na różne tony szemrzące nieskończone recitativa śpiewnego opowiadania. Połonina wygląda, jak turecki kobierzec—tyle na niej kwiatów. Pachną tonki, wyczyńce, brzanki, wykliny, wychylają z pomiędzy nich wdzięczne, barwne główki jaskry, kształtem do małej różyczki podobne, pełniki (*Trollius*), rzadkie nie spotykane przezemnie na naszej równinie mazowieckiej powojniki wiciowate (*Clematis vitalba*), krzewiące się gęsto kupkami tu i ówdzie,—wdzięczą się

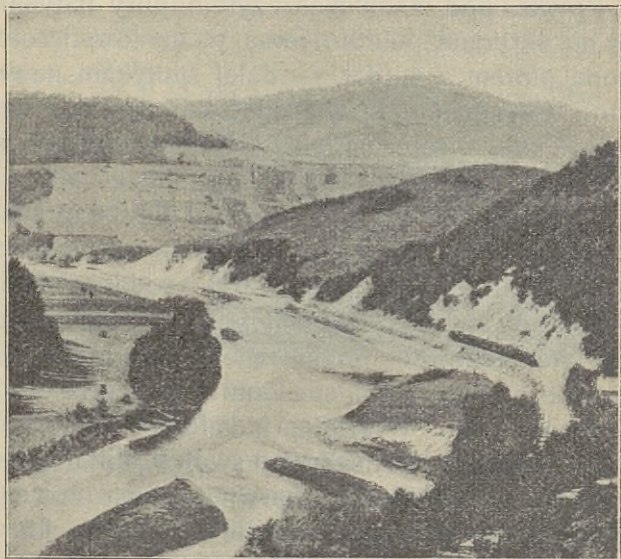
pospolite, a jednak miłe oku pachnące mięty, gni-dosze, goryczki, biedrzeńce i tysiące innych ci-chych a miłych skromnisiów. Powoli bujna, łą-kowa roślinność coraz bardziej maleje, im wyżej wspinam się w górę, i oto znów owiewa mnie zimne tchnienie lasu, który wązkim pasem wy-biegł od regli aż na same czuby gór. Lasy szczy-towe, starannie tutaj pielęgnowane i prowadzone, mają dwojaki charakter — przeważa w nich albo buk, albo jodła. Las bukowy jest wilgotny, za-cieniona silnie powierzchnia ziemi daje doskonale środowisko skrytokwiatowym roślinom, ślimakom, a głównie podroźcom (Arion), których nie spoty-kałem nigdzie w tak znacznej ilości. Przewiew-ny i suchy las jodłowy, podszyty częstokroć świer-czyną, wiotkim modrzewiem, lub fantastycznie krzywiącą się, jakby w męce, sośniną, strzela w niebo szpiczastemi szczytami pomiędzy złomy turniowe i, zasławszy ziemię grubo zeszlęmi igłami, mało komu więcej żyć przy sobie daje.

Odmian jodły pobieżnie dostrzegłem tu kilka, co wobec tego, że ich wogóle dużo więcej, jest dowodem, że o las tutaj ludzie dbają.

Po węgierskiej stronie, za Popradem, widać gęstą szczytkę lasów sztucznie sianych. O ile mniej ma uroku las taki od naturalnego — mówić chyba nie potrzebuję.

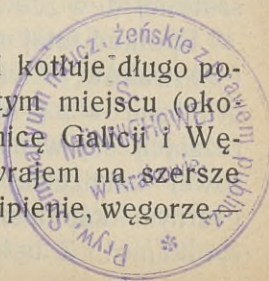
Dosięgnęłem nareszcie szczytu przełęczny i po jej wązkim, falistym grzbiecie pięć się zacząłem na szczyt wzgórza. Chwila spoczynku dla wy-tchnienia kazała mi się obejrzeć w tył i zatrzy-mała mnie dłużej w niemej kontemplacji krajobra-zu, który się rozesał przed oczami memi. Wid-

nokrąg zaroił się szczytami Karpat, niewidzialnymi z dołu, z których przyszedłem; — het, daleko, jak okiem sięgnąć, w różowej mgle poranku spowite w mgłę przezroczystą góry sinawe, zielonawe, szare, bielejące — a dołem, w dziwacznych iście skrętach, w błękitnych tumanach Poprad toczy swoje rwące fale. Śliczna to rzeka, temperament



Nad Popradem.

górski, namiętny,—szarpie się i kotłuje długo pomiędzy fałdami gór—tworzy w tym miejscu (około Żegiestowa) naturalną granicę Galicji i Węgier, i dalej już, koło Sącza, wyrajem na szersze pola wylata. Poławiają w nim lipienie, węgorze — ba! nawet pstrągi czasami.



Ileż to rozkoszy ludziom daje ta zacna matka-przyroda! Pewien poseł galicyjski z takim młodzieńczym uniesieniem chlubił się przede mną ze złapanego węgorza, że musiałem dojść do przekonania, iż słynne jego krasomówstwo i prawdziwa poezja czynu są niczym w porównaniu z jego talentem rybackim, zgryźliwie traktowanym przez nieczułą ludzkość.

Prawie pod samym szczytem góry natykam się na skromne poletko owsa, pieczołowicie otoczone płotem z żerdzi, — dalej spotykam nawet żyto. Oryginalnie to wygląda, het wysoko nad regłą i hałą — rola uprawna. Biedny chłopiek aż tutaj szmatu ziemi rodzajnej poszukiwać musi.

A ludek tutaj ciekawy. Rusini tutejsi forsownie emigrują do Ameryki, tak że całe wioski okoliczne są bez gospodarzy — gospodarzą baby i młodzież. Większość emigrantów ciągle przysyła pieniądze do domu, wielu już powróciło z wcale przyzwoitemi sumkami i rozszerza swoje gospodarstwo. Widziałem niemłodą kobietę, która dwa razy była w Ameryce u swoich „ditiatok,” — Ameryka nie zabrała jej barwnego, narodowego stroju, ale za to przyswoiła jej.. zegarek, który babina miała zawieszony na piersiach, na grubej srebrnej dewizce.

Spotkać tutaj można i Węgrów, i Chorwatów, i Słowaków, — wszystko to w pięknych strojach graniczników z przeważającą modłą węgierską, wyrażającą się w obcisłych ineksprimablach, kolorowej kamizelce, palonych butach i okrągłym czarnym kapeluszu. Otóż i mam na ścieżce spotkanie! Z bekiem, gładzeniem kołatek bla-

szanych drepce prędkiego truchcika „kierdel” (stado) owiec, za niemi kilka kóz brodatych i dwie krówki sentymentalne. Mój towarzysz i powiernik — mały czarny Żuczek — za zbytnią poufałość względem jednej kozy został przez nią stan- te pede skarcony przyzwoitym szturchańcem mię- dzy żebra, co go zniewoliło do wykonania paru koziółków, lecz nie powstrzymało jego pasji, śmiesznej wobec jego maleńkości. Zmuszony do interwencji zbrojnej, wdałem się w rozmowę z ju- hasem. Był to

najmita wiosko- wy—Słowak,— poznałem to po braku nosówki w jego mowie polskiej. Ślicznym językiem, o archaicznym słowiańskim brzmieniu i jesz-



Kierdel.

cze piękniejszym od języka stylem górala za- znajomił mnie z topografią pejzażu i zaproponował kupienie trufli, których miał pełną torbę. Większość królewiaków, przybywających tu na letniska i znających grzyby tylko z półmiska, krytycznie się odnosi do trufli, w wielkiej ilości tu się znajdujących, nie wierząc ich białej barwie i odmiennym od trufli zwyczajnej kształtom.

Jest to t. zw. trufla biała v. polska (*Rhizopogon albus*), właściwa lasom Europy środkowej, rośnie od Karpat aż do Bugu, mniej jest ceniona przez smakoszków od trufli zwyczajnej (*Tuber*

cibarius), koloru ciemno-popiołowego, lecz gdyby uprawą ich i handlem zaczęto się zajmować równie starannie, jak we Francji, przybyłoby ludności rolnej nowe źródło dochodu. Podobno i trufła czarna spotyka się często u nas w lasach bukowych, w grodzieńskim. We Francji do odszukiwania trufli używają tresowanych psów i świń; tutaj góral łopata kopie głębokie wyrwy pod drzewami, obnaża korzenie, na których rozwija się grzybnia truflowa, i dla paru centów zarobku, robi szkody poważne w gospodarce leśnej.

Wstępujemy z Żuczkiem na rumowisko łupkowe na szczycie góry, płosząc wielką ilość jaszczurek, wygrzewających się w promieniach wschodzącego z poza gór słońca. Uciekają one żwawo w rozmaite dziury, połyskując w blasku plamkami blaszek rogowych. Siadam i zaczynam się rozglądać. Na prawo, z biegiem Popradu ku Sączowi, zbiegają góry tarasami w nizinę; przede mną Łopata Polska, za nią Węgierska, z tyłu siny łeb Jaworyny. Niema tu takiego majestatu grozy, jak w Tatrach, bo krajobraz jest barwny, słoneczny i pogodny, pogłębiony zieloną runią lasów i poletek, „malowanych zbożem rozmaitym.” Oczy i myśli biegną w świat daleko za tym wążącym się cicho na skrzydłach w wysokości orłem i całą duszę oplątuje smętnica. Gościła już ona w niej i na Pojezierzu bałtyckim, i nad Niemnem, i nad Bugiem, i na szczytach Czarnohory. Trzeba wracać w dolinę.



Na

Czarnohorę.

Przed paru laty, w towarzystwie kilku przyjaciół, przyrodników, wybrałem się na parodniową wycieczkę na Czarnohorę w Beskidzie zachodnim. Skłaniała nas do tego nie tylko chęć użycia „swobody gór,” ale i pragnienie odwiedzenia kolegi Janowskiego, samotnego wygnańca w imię nauki na Czarnohorze. Janowski od wczesnej wiosny do końca lata mieszka pono sam jeden gdzieś tam het wysoko, blisko Dancerza i Howerli, pełniąc sumiennie obowiązki kierownika stacji doświadczalnej botanicznej.

Projekt naszej podróży powstał nagle, wykonaliśmy go jeszcze szybciej (działo się w Galicji!), tak że na trzeci dzień siedzieliśmy już w wagonie, który nas ze Lwowa zabrał w drogę do Stanisławowa. Droga ta nic osobliwszego nie przedstawia: jechaliśmy równym, gładkim krajem, mię-

dzy złotemi już łanami żyta i pszenicy, — gdzie-niegdzie wcinające się w nie ubogie chłopskie poletka, szare chaty wieśniacze i drogi, wysadzone dosyć skrzętnie drzewami.

Dopiero po przejechaniu Dniestru zaczyna być widoczną gdzieś daleko na widnokręgu sinawa, poszarpana wstążka gór, powietrze zaczyna być czystsze i surowsze, i na stacjach spotyka się lud wiejski odmiennie ubrany — w swobodny i malowniczy strój góralski. Zbliżamy się powoli do gór; pociąg poczyną coraz wyraźniej pięć się po spadku na wyżynę, okolica staje się coraz bardziej falistą i zalesioną i wreszcie niedaleko Delatyna wjeżdżamy w dolinę Prutu. To już góry.

Mijamy z kolei ładne karpackie miejscowości, obecnie na letniska lwowskiej inteligencji zamienione:—Dorę, Jaremcze, ze wspaniałym wiaduktem nad Prutem, Mikuliczyn, Tartarów, i wreszcie—okrążywszy stromą i wysoką kopę „Rebrowacz,” po drugim niemniej efektownym wiadukcie zawijamy do kresu naszej podróży koleją żelazną... do Worochty.

Noc już jest ciemna, mgły zewsząd obwisły, nie możemy więc rozejrzeć się w miejscowości i ruszamy wprost do „Dworku Czarnohorskiego” na nocleg. Jest to schronisko Tow. Tatrzańskiego, gdzie za skromną opłatą dostaje się bardzo przyzwoity nocleg i wcale dobre jadło. Przed udaniem się na spoczynek wyszukaliśmy jeszcze przewodnika—starego Hrycia, który cieszy się specjalnemi względami wszystkich lwowskich

„naturalistów” — i zamówiliśmy sobie jego usługi wraz z czterema końmi na dzień następny.

Usługiwał nam przy wieczerzy młody, zgrabny i przystojny hucuł, ubrany w swój strój narodowy t. j. w serdak suto naszywany, szeroki, nabijany guzami pas, szerokie krojem węgierskim spodnie płócienne, czerwone wełniane onucze, wyżej kostek sięgające i skórzane chodaki. Niezbędną częścią tego stroju, z którą hucuł rzadko się rozstaje, jest parciana, najczęściej czerwona torba, przez ramię przewieszona, w której nosi fajkę, kapciuch, nóż, rzemyki do chodaków i t. p.

Wyjeżdżamy z Worochty wczesnym rankiem konno, na nędznie z pozoru wyglądających huculskich konikach. Wysokie kabłakowate siodła przypominają kształtem swoim dawną polską terlicę. Są to poprostu dwie miękkie klepki drewniane, wygięte odpowiednio do budowy krzyża końskiego i wzdłuż jego po obu stronach leżące, do których z przodu przymocowany jest wysoki łęk, a z tyłu także tylne oparcie. Pod siodłem podesłana jest jedna gruba derka, na siodle między łękiem i oparciem druga, w kilkoro złożona i popręgiem przymocowana. Siodło takie jest dosyć wygodne i, gdyby nie olbrzymie strzemiona, które się ciągle opuszczają, to jedno, to drugie, dzięki temu, że są oba przywiązane do końców jednego i tego samego sznura, przerzuconego przez siodło, nic by mu zarzucić nie można. Konie biegną początkowo truchta i klusa, co daje możliwość naszemu gronu wykazania uzdolnienia w hippice, jednym łacińskiego, drugim sarmackiego, powoli jednak wjeżdżamy na kamienistą nie-

przyjemną ścieżkę w lesie, która zmusza nasze pegazy do zwolnienia biegu i opuszczenia głów do samej ziemi.

Parę dni przyszło mi w czasie tej wycieczki spędzić na grzbiecie huculskiego konia i nie mam wprost słów uznania dla tego mego wierzchowca; chuda to i wynędzniała szkapa z zapadniętymi bokami, nisko opuszczoną szyją i łbem, zmierzwionemi ogonem i grzywą, ma chód nie jelenia, ale kozicy, wytrzymałość wielbłądzą, skromność potrzeb życiowych taką, jak nasze woły nizinne, łagodność owczą i tylko jedną, jedyną wadę — więcej niż ośli upór. Na stromych, karkołomnych ścieżkach, nad brzegami przepaści, gdzie każdy fałszywy krok zda się grozić śmiercią, trzeba cugle koniowi puszczać wolno, zdając się zupełnie na jego łaskę. Nie pomogą wszelkie wysiłki jeźdźca, który ze strachu radby się z koniem przycisnąć do ściany, aby być jaknajdalej brzegu przepaści; nie pomoże walenie obcasami w boki szkapy, okładanie jej kijem, — będzie ona szła samym brzeżkiem ścieżki, po samej krawędzi nad przepaścią, bo tak jej się podoba — i koniec. Ma ona co prawda — i swoją rację w tym względzie: na ścieżce nad brzegiem przepaści leżą największe kamienie i płaskie głazy, poukładane rękami ludzi, poprawiających co roku drogę, po nich jej stąpać najwygodniej i najbezpieczniej, tym bardziej że „durnej” głowy, jak dosiadający ją trwożliwy turysta, ona nie posiada, więc się przepastnych głębin nie boi. Trzeba widzieć takiego konika, jak on się kurczy i przysiada na zadzie na stromych osypiskach spadków, jak prze-

sadza lekko rozpadliny i strumyki, jak się wyciąga i pochyla ku ziemi, wylażąc na zawrotne wzniesienia i skręty karkołomnej drogi, jak zręcznie wyszukuje nogami pewnego punktu oparcia na kupach ruchomych kamieni i t. p. Znosi on za to rozkazy tylko swojego gospodarza lub przewodnika, nic sobie absolutnie nie robiąc z przygodnego jeźdźca, nie znosi rozpiętego parasola, zdradzając w tej chwili stanowczy zamiar pozbycia się ciężaru na grzbiecie — i nie cierpi chodzić w parze, tylko gęsiego.

— „Ses, sywku—wišta!” — wesoło pokrzykuje na konia Hryć. Przejeżdżamy mimo wielkich tartaków i kolejki podjazdowej, która jakoby z głębi lasów dowozi budulec. Przejeżdżamy jej nasyp kilka razy i wreszcie w pięknie brzmiącej Ardzełuży rozstajemy się z galicyjskim przemysłem i jego szlakiem kulturalnym, aby odtąd jechać stromym brzegiem Prutu, który huczy i szumi coraz głośniej. Wjeżdżamy w gęsty las świerkowy, w którym raz wraz napotykamy powalone wielkie sztuki starodrzewiu, gnijące w rozkisłych bajorach i mokradłach, których tu w lesie, mimo znacznego spadku — pełno. Muszą być torfowiska. Prut płynie szerokim, kamiennym łożyskiem, tocząc wielkie kamienie i z hukiem przewalając się przez „porohy;” pełno w nim także zwalonych kłód drzewnych i gałęzi, tak, że w niektórych miejscach po utworzonych z nich mostkach naturalnych przejść można rzekę suchą nogą. W lesie paproci mchów zatrzęsienie, widlaków całe festony, wszędzie pleśniaki, porosty — wszystko to razem nadaje tej leśnej głuszy jakąś dziw-

nie senną i smutną fizjonomję. Po drodze spotykamy tak wielką ilość jastrzębi i kobuzów, których żałośne urywane kwilenie raz wraz mąci głęboką ciszę lasu, że przestaliśmy wierzyć, aby jakiegokolwiek łagodnego ptaszę mogło wyżyć na takim łupieskim szlaku. Ale oto po paru chwilach usłyszałem stukanie dzięcioła i nad Prutem ujrzeliśmy całą chmurę drobnych ptasząt, których rodzaju, z powodu półmroku, jaki jeszcze nad Prutem panował, nie mogłem bliżej określić. Kolega botanik złazi z konia (botanicznie! — na prawą stronę), szpera po ziemi i z bojowym okrzykiem — podobno Aszantów — coś namiętnie pakuje do puszki. Znalazł podbiał alpejski (*Homogyne alpina*). Gór nie widać — las i las.

Powoli oddalamy się znowu od Prutu w głębi lasu i wjeżdżamy na mokradła. Na głębszych i niebezpieczniejszych miejscach są porobione grobelki z okrąglaków świerkowych, do których konie nasze czują wielki wstręt i wolą często iść bagnem, niż ślizgać się i potykać na ruchomych drągach. Drogi tę ostaniemi czasy reparują i podtrzymują jako tako ze względu na stację botaniczną na Czarnohorze, ale pomimo to jest ona taką, że tylko wierzchem na huculskim koniu przebyć ją można. Zimą, skoro sanna się ustali, huculi na saneczkach docierają do najdalszych ostępów i zwożą stamtąd drzewo; latem furką nigdzie tu daleko nie zajedzie.

Hryć opowiadał nam, że od jednego hucula pod Czarnohorą kupił żyd parę morgów lasu za 200 „banok” (*banko* = gulden po węgiersku); na przeprowadzenie jednej drogi do tego lasu

wydał kilkanaście tysięcy reńskich... i zbankrutował. Kruche jest szczęście na tym świecie!..

Po stronie węgierskiej splawiają drzewo rzekami, robią tamy, zwalają huk drzewa do wody —



W lesie pod szczytem.

potym tama won! drzewo wio! Rozpętany żywioł unosi drzewo daleko, do pierwszej zapory, gdzie się ta sama manipulacja powtarza da capo. Lecz ile się przytym drzewa niszczy i ile ginie! Ale kto by tam na naszych rzekach, Prucie i Cze-

remoszu takie tamy budował, zawiele w nich temperamentu i zbyt kręte koryta.

Ten las rzeczywiście końca nie ma, a w dodatku Hryć nas pociesza, że do samej Czarnohory będziemy nim jechali. Nic dziwnego, przecież to Karpaty lesiste, a zresztą samo nazwisko Czarnohory nie od czego innego, tylko od ciemni lasów dziewiczych pochodzi, o których Reclus powiada, że je „les peuples nombreux qui s'appuient aux bastions des Carpathes ont laissé jusqu'a ce jour à la nature vierge.” Ta dziewiczość wyraża się przedewszystkim w bajecznych wprost wykrotach, w niezliczonych mokradłach i trzęsawiskach wśród ciemnego gąszczu lasu ukrytych, o których słusznie sądzić można „że tam djably siedzą.” Dodajcie do tego moc wężowisk i groble naturalne ze zwalonego przez wichry starodrzewiu, a będziecie mieli obraz mało co mniej dziki od Pana Tadeuszowego, jak mówi botanik, który tylko co zleciał z konia na płask.

Na popas w południe zatrzymujemy się na Zawojeli, jest to mała łączka z kilku opuszczonemi „bacówkami.” Konie nasze rozsiodłane puszczamy samopas a my zabieramy się do posiłku.

Uprzejmy Hryć, wywdzięczając się za poczęstunek, ofiarowuje nam swój placek z mąki kukurydzianej. Słodko-mdły smak tego zakalcowanego ciasta nie wzrusza jednak nas zbyt. Za to Hryć do naszej wódki poczuł odrazu sympatję i nie uważał za stosowne wcale się z tym ukrywać. Pocziwy Hryć był pierwszym huculem, z którym zawarłem bliższą znajomość, póź-

niej nie opuszczaliśmy żadnej sposobności napa-
trzenia się i pogadania z temi kresowcami, o ile
nam na to słabe posiadanie—naturalnie—języka
rusińskiego pozwalało.

Ta niesłychana prostota obejścia i szczerość
górali karpackich, ma faktycznie źródło nie w bra-
ku ogłady i cywilizacji, bo mają ją oni swoją
odrębną i sobie właściwą, ale jest prostym wy-
nikiem wiernego aż do śmierci pożycia z tą przy-
rodą gór, tak szczerą i prostą.

Nasi górale tatrzańscy, szczególnie w Zako-
panem, psuci stale przez zbyt egzaltowanych chło-
pomanów i chłopomanjaczki, którzy ich stale trak-
tują jako pięknie odziane i wdzięcznie po polsku
wysławiające się lalki, utracili już wiele ze swo-
ich cnót patryjarchalnych. Huculów publiczność
wielkowiejska—chwała Bogu—jeszcze nie zeszpe-
ciła moralnie, są więc prości, szczerzy, gościnni,—nie
znają jeszcze w teorji zdzierstwa i oszu-
kaństwa.

Jest to lud ubogi i cichy, którego łupi i obdzie-
ra kto tylko może. Są i między nimi bogacze,
posiadający po kilkaset owiec i całe obszary po-
łonin do wypasu, ale tych jest mało i kasty od-
rębnej (jak np. „kułaków”) wśród swoich zupeł-
nie nie tworzą. Typ hucula—rzecz prosta—jest
inny niż górala tatrzańskiego. Suche, kościste,
ogolone twarze, orle nosy i krucze najczęściej
włosy, obficie sadłem wysmarowane, przy drob-
niejszej—niż u tamtych budowie ciała, więcej ich
zbliżają do Węgrów i Rumunów. Rysy są deli-
katniejsze, jeszcze bardziej wyraziste, stąd też
i daleko większą ilość przystojnych, a nawet wprost

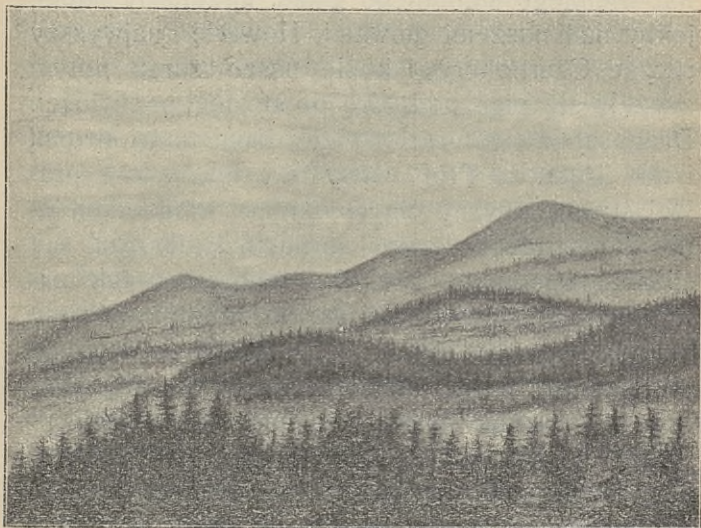
pięknych osobników. Huculi są znacznie słabsi i nędzniejsi cieleśnie od swoich sąsiadów z Tatr.

Przemysł drzewny kwitnie, podobnie jak i w Zakopanem, po wsiach i miasteczkach, mianowicie: ciesiołka, wyrób gontów, stolarstwo. Sprzęty domowe w chacie góralskiej pokryte są rzeźbą, swojską, w której jakiejś łączności z stylem zakopiańskim trudno się dopatrzeć.

Strój huculów także bardzo się różni od podhalańskiego, chociaż jest tu i serdak, okrągły czarny kapeluszek i kierzki skórzane. Spodnie u mężczyzn białe, płócienne, szerokie, krojem węgierskim czikosów, a nie obcisłe sukienne, — „drukowania” t. j. naszywek kolorowych na nich niema, onuczki czerwone lub białe, wyżej kostek, serdak suchy i barwniej wyszywany. Tylko męzkatki obwiązują głowy kraśnemi chustkami. Wogóle w ubraniu, szczególnie u kobiet przeważają kolory czerwony, żółty i zielony. A strój tych ostatnich jest wysoce oryginalny. Przedewszystkiem spódnic właściwych nie noszą, a zamiast nich dwa szerokie fartuchy, najczęściej czerwonego koloru w poprzeczne żółte paski, jeden z przodu, drugi z tyłu, które, nawzajem za siebie zachodząc, tworzą coś w rodzaju spódnicy. Przyczyna noszenia takiego dolnego stroju przez huculki odrazu tłumaczy się sama temu, kto widział raz huculkę na koniu. Jeżdżą one dzielnie i zawsze na siodłach męskich i wtedy przekręcone na bok fartuchy służą do przykrycia, jeden lewej nogi, drugi prawej. Hucul i huculka zrosli się ze swojemi konikami, kobieta często wyręcza męża w odwożeniu bryndzy i żętycy, konno odbywa z nim wycieczki

do miasta po sprawunki, do sąsiadów z wizytą, nic też dziwnego, że w weselu huculskim konna jazda uważa się jako zasadnicza część obrządku, i orszaku ślubnego nikt tam na furkach nie zobaczy.

Spotkaliśmy po drodze tęgą i okazałą gaździ-
nę, która z fajką w zębach dosiadała krępego



Widok Czarnohory.

gniadosza; – witając się uprzejmie z nami, wyjęła z ust fajkę, splunęła przed siebie tak zamasyście, że i nasz dryndziarz by się nie powstydzil. Ilez te niewiasty, szczególnie bogatsze, noszą na sobie haftów, paciorków, wstążek, świecidełek, – a wszystko to razem z bufiastemi rękawami koszuli, kolorową torbą i haftowanym serdakiem dopełnia całości tego malowniczego stroju.

Szczególniej pięknie bywają wyszywane sakiewki do pieniędzy i kapciuchy do tytoniu, wogóle motywów zdobniczych roślinnych tu dużo. Widziałem haft rożanecznika, którego w Tatrach niema.

Droga nasza znów skręca z lasu na stromy i przepaścisty brzeg Prutu, którego koryto zwięza się znacznie. Na jednym zakręcie, przy okrążaniu wielkiego samotnego głazu, ujrzeliśmy nagle, jakby nad naszemi głowami, Howerłę — najwyższy szczyt Czarnohory, i konie nasze zaraz potym zaczęły się piąć pod górę po stromej pochyłości. Droga staje się coraz bardziej kamienistą, stromą i tak krętą, że Prut mamy to z lewej, to z prawej strony, musimy ciągle okrążać wielkie kamienie, przesadzać liczne strumyki i pilnować się ślizkich spadków. Niektóre miejsca są tak zawrotne, że człowiek kuli się na siodle i dech mu zamiera, tymbardziej, że konie raz wraz wstępują na ruchome piargi kamieni, na których się giboczą, wyszukując silniejszego oparcia dla nóg.

Po upływie jakiejś godziny las poczyna rzednąć, Howerla coraz bardziej poczyna tłoczyć olbrzymią swoją masą — i Hryć oświadcza, że już blizki kres naszej drogi. Zaczynamy hukać i wołać, aby dać znać o sobie Janowskiemu i wyjeżdżamy powoli z regli; jeszcze jeden nagły zakręt i widzimy przed sobą na czubie góry o paręset kroków niewielki domek i opłotki, kręci się tam kilku ludzi wymachujących czapkami i pies ujada gwałtownie. Podjeżdżamy wreszcie, z radością wita nas pustelnik. Nie bogato tu u niego, — parę stołów i stolców sosnowych, trochę naczyń niezbędnych, ale za to zielników, puszek, instrumen-

tów różnych moc okrutna; na ścianie meteorologja, broń i pęki ziół powiązanych. Przy domku duży plac ogrodzony z poletkami doświadczałnemi; część połoniny do stacji należąca, pozostawiona jako łąka i upstrzona rogalami do suszenia mokrego siana.

Śliczny widok roztacza się przed nami z niewielkiej werendy stacji. Z jednej strony szczyty Howerli, Dancerza i Porzyżewskiej, poowijane w fantastyczne muśliny i wstęgi chmur i obłoków; z drugiej—pod naszymi nogami ciemniejąca dolina, w której gdzieś głęboko Prut szumi, burzy się i huczy. Na zachodzie z lewej strony wycinają się ostro na tle nieba poszczerbione szczyty t. z. szpyci, od których biegną faliste przełęcze ku Turkułowi, Homułowi i t. d. Dopatrujemy — gdzież jest Czeremosz, dopływ Prutu i druga rzeka Czarnohory. Nie widać go stąd, płynie gdzieś za Homulem, z drugiej strony pasma gór.

Ciekawy jest koloryt tych Karpat!..

Mimowoli nasuwa się w myśli porównanie z widokami Alp szwajcarskich. Tam taka wielka ilość farb, taka różnorodność tonów i półtonów, tyle zmian i kontrastów na każdym kroku, a tu tylko jeden, jednostajny ciemno-zielony, prawie granatowy koloryt tła, z kilku gdzieniegdzie jaśniejszemi rysami nieba, obłoków i oparów. Ale jest w tych górach jakaś dziwna tajemniczość, posępność, jakaś tęsknica omglona, czarcichy nie tylko prostoty stroju, ale i skromności wyrazu; — jakiś że tak powiem — majestat prostaczego smutku i powagi. Nad ciemnemi, zatopionemi w wieczorną ciszę reglami, wznoszą się

szaro-zielone turnie, poprzerzynane wążuteczkami paseczkami strumieni, a nad niemi tłuką się to w tę, to w ową stronę białe strzępy obłoków. Ciemnieje. Szczytów już nie widać, pochowały się w szare powicia chmur, i chmury te suną wolno ku nam w dół, zabierając powoli z przed oczu naszych krok za krokiem całą turnię. Mamy takie wrażenie, jak gdybyśmy ze wszystkich stron byli obwieszani jakimiś ruchomymi muślinowymi zasłonami; zasłony te przesuwają się, podnoszą, to znów opadają.

Po posiłku układa nas Janowski spać, jak może. Dwu z nas będzie miało królewskie spanie na drewnianych pryczach, na które nałożono siano odpowiednio, dwu innych musi nocować na siennikach na ziemi. Okrywamy się kocami, paletotami, kto czym zresztą może, gasimy światło i zaczynamy zażartą gawędę, która się przeciąga do późna w noc, gdyż gospodarz tak malowniczo opisuje swoje życie tutaj, swoją pracę i tak barwnie rysuje nam to, co mamy jutro zobaczyć.

Raptem w ciszy nocnej trzy strzały z broni palnej gdzieś w bliskości raz po raz „wygarnięte” zrywają nas z posłania. Janowski z flegmą uspokaja, że to nic wielkiego, że to pewnie juchasi odpędzają „myśka” albo wilka, podkradającego się nocą do stada.

— A do was, kolego, nie podbierał się kiedy jaki gość tutaj?

Janowski groźnie wstrząsnął wiszącymi nad rycerskim łóżem dubeltówką i rewolwerem i oświadczył, że ma jeszcze wierne sługi do odparcia choćby najstraszniejszego napadu.

Rzeczywiście za ścianą rozlegało się tak potężne chrapanie posługacza laboratoryjnego ze Lwowa, poczciwiny Jana i hucuła Wasyla, żeśmy odrazu nabrali przekonania, że im niedźwiedź nawet we śnie zaszkodzić nie może.

Świt szary. Idziemy na szczyty. Nogi nasze lgną wyżej kostek w miękkiej, przesyconej wodą perci, więc wybredniejsi, gdzie znajdą szerszą połąć kosodrzewiny, starają się z gracją stąpać po niej. Zdradliwa to droga,—można wpaść po pas w ukryty w głębi krzaku dół lub rozpadlinę, którą kosodrzew skrzętnie zakrywa swojemi szerokimi gałęziami.

Przed nami otulona w różowy brzask stoi Howerla. Przechodzimy mimo sadyby juhasów, z której wylata parę zjadliwych kundli i robi nam owa-cję; w szatrze niema nikogo, wszyscy wyszli ze stadami na połoniny. Obraz nędzy i rozpaczy taka szatра pasterska. Ściany powiązane z grubych bierwion świerkowych, okien niema wcale, zamiast drzwi dziura, dach z tarcic, na który — jako antydot wiatrom—nakładziono kamieni. Wewnątrz czarno od sadzy, na ziemi wśród starych kożuchów, statki mlecarskie, przygasłe ognisko na kamiennym ruszcie—i wszędzie wizytowe bilety owiec i kóz. Robactwo czycha ze wszystkich kątów; kiedyś jedna noc w takiej szatrze o mały włos nie doprowadziła mię do szaleństwa.

Wstępujemy na falistą, prześliczną przełęcz Dancerza i Howerli. Gdzieś z oddali płynie dźwięk trombity huculskiej, kilka tonów składa się w jakiś jeden smutny i dziki motyw, w którym slychać tęsknotę dumki ukraińskiej. Spotykamy kil-

ku huculów i duże stado owiec. „Sława Bohu!” — „Na wiki sława-ś” — witamy się grzecznie ze starym siwym bacą, który coś zaczyna nam opowiadać z żywą giestykulacją i ożywieniem. Okazuje się, że siedzieli oni sobie przed chwilą najspokojniej przy ognisku, kurzyli fajki, taj zagadali się, a tu raptem kiedy się obróca, widzą dużego wilka o kilka kroków, który się im spokojnie przyglądał. Nim oprzytomnieli i schwycili za pistolety, wilk podniósł kite z ziemi, wlaź w krzaki i tyle go widzieli. Rozstawszy się z hucułami, którzy sobie nawzajem gapiostwo w dalszym ciągu wyrzucali, wstępujemy na stromą gliniastą piargę, po której pięć się musimy z mozołem.

Przed nami wodospad Dobosza, pod którym — według podania miejscowego — ów słynny rozbójnik zakopał swoje wielkie skarby. Odgrzebał ci je podobno kiedyś jakiś juhas, ale zaraz napowrót zasypał wystraszony, a potem oślepl i zaniemówił. Szeroka na 2 łokcie wstążka wody, pieniać się, szumiąc i roznosząc w powietrzu drobny pył srebrzystej mgły, spada tu z wysokości tarasami po olbrzymich głazach łupkowych. Idący na przedzie kolega rolnik, stale poszukujący skąd inąd na ziemi „Goryczkowatych,” zwraca naszą uwagę na krążące nad naszemi głowami orły. Naliczyliśmy aż siedmiu tych skalnych gazdów. Wiedzą oni dobrze bestje, że mają do czynienia z ludźmi, nieposiadającemi zupełnie wrogich względem fauny miejscowej zamysłów, więc płyną spokojnie nad naszemi głowami, zataczają kręgi, tak, że widzimy jak na dłoni upierzenie ich piersi, nogi i lotki skrzydeł. Jest orzeł

przedni. Ale! oto uwagę naszą przykuł na czas dłuższy śliczny bielik (*Haliaetos albicilla*). Poeta wyciągnął do niego ręce i mało się nie rozbezczał, a rolnik zaproponował towarzystwu uczczenie królewskiego polskiego ptaka zdjęciem czapek. Wykonano. Pniemy się i pniemy pod górę po stromym zboczu, pot nas zaczyna oblewać, chwilami tchu braknie, no i nareszcie jesteśmy na szczycie. Ale trafiliśmy akurat w taki zamęt chmur, że na kilka kroków literalnie nic nie widać; ze wszystkich stron otaczają nas wiotkie, powiewne muśliny pary, które się kłębią, przesuwają, zatrzymują, znowu płyną, czasem rąbek ich się podniesie — i widać gdzieś daleko jakieś doliny, a potem znów biało wokół nas.

Nareszcie koło godz. 11-ej chmury poczęły się powoli rozwiewać i rzednąć, przyleciał skądś wiatr silny i gwałtowny, który je porwał, skręcił, skłębił i rzucił het w górę. W jednym oka mgnięniu rozwarła się przed nami jak w jakim czarodziejskim kalejdoskopie strojna we wszystkie uroki panorama karpacka.

Janowski staje na wielkim upłazie i poczyną wskazywać ręką. Tam daleko te sine góry — to szczyty Siedmiogrodzkie, za Czarną Cissą, tu na prawo, ten ponury, ciemny, po którym chmury jeszcze suną, to Pietrosul, tam na lewo, ten wysoki, najwyższy tutaj po Howerli to Pop Iwan, w połowie do Węgier należący; te doliny przed nami z maleńkimi oczami jeziorok i te zbiegające stromo w dolinę przełęcz i krawędzie — to już strona węgierska. Rzucamy okiem na lewo,

widzimy łysiny Dancerza, Porzyżewskiej, czubaty wirch Turkuła, widzimy Szpyci, Homuła, Maruszewską, a za nami z tyłu w ciemnie lasów świerkowych otulona tonie gdzieś dolina Prutu, a za nią druga — Czeremoszu.

Znużenie mięśni znikło gdzieś bez śladu, mimo mniejszego ciśnienia atmosferycznego nie czuć wcale w stawach zmęczenia, pierś oddycha z rozkoszą czystym, świeżym powietrzem, i człowiek czuje się dziwnie zdrowy, rzeźki i upojony, we wszystkie jego skrytki mózgowe weszła wielka koicielka—rozkosz duchowa!

O! te skarby, te obrazy

I natury i swobody..

Trzeba wracać. Schodzimy wolno, z jakimś zalem serdecznym żegnając ten świat „gdzie po halach wiatr przegania uronione orle pióra”. Zejście w dolinę zda się być jakimś splugawieniem poezji przez ordynarną prozę.

Po drodze na połoninie spotykamy kawał ziemi świeżo zryty i skopany. Dziki tu przychodziły uraczyć się cebulkami storczyków. Na przełęczy Turkułowej leży ogromne rumowisko olbrzymich, fantastycznie jedne na drugich narzucanych — nakształt schodów — tablic łupkowych. Na wiosnę, woda, bijąc z siłą z góry, poukładała i potasowała je tak malowniczo, a dziki wśród tych złomów pourządzały sobie legowiska.

Połonina cała pokryta jest kępkami brusznic i czernic. Spotykamy jałowiec alpejski (*Juniperus nana*) i pierwszy różanecznik (*Rhododendron kotschii*), który nas przejmuje dumą omal nie narodową. Ze szczytu Turkuła doskonale daje się

obserwować łagodne przejście regli w linię turniową. Z lasów świerkowych wychylają się wzniesienia zboczów gór, pokryte kosodrzewiną i wielkimi plamami ciemno zielonej perci z osypiskami coraz to większych, im wyżej w górę, głazów, aż w końcu linja szarego łupku zupełnie pokonywa zieloną linię perci. Turkuł, jako jeden z niższych szczytów, leży swoim czubem na samej granicy turniowej Czarnohory, która doskonale też daje się z niego objąć okiem, jak również i rozdział wód północnego i południowego stoku (Prutu i Cissy). Przez Maruszewską przełęcz przechodzimy do źródelka Prutu. Otaczający go las reglowy jest tak przesycony wilgocią, że aż rosa z drzew kapie.

Na niebie tymczasem raptownie nagromadziły się chmury, dolinka Prutu zaciemniła się, szczyty zakłębiły i lunął deszcz rzęśisty. Na szczęści spotkaliśmy bacówkę, do której schroniliśmy się z pośpiechem. Zastaliśmy tam dwu juhasów—jeden spał, a drugi miętosił bryndzę w ogromnym cebrze. Obydwaj byli naturalnie tak brudni, jak tylko juhas to potrafi, w szatrze zaś panował taki niemożliwy zaduch od świeżo ściągniętych skór bydłących i taki swąd smażonego łoju, żeśmy woleli deszcz przeczekać pod przystawką i... nazawsze straciliśmy gust do t. zw. węgierskiej bryndzy. Brudasostwo juhasów jest obrzędkiem tradycyjnym; czystą bieliznę, wygotowaną w łoju baranim, wkładają na siebie w maju, wychodząc na połoniny ze stadami i zmieniają ją dopiero z powrotem na jesieni. Żyją, śpią, jedzą razem z owcami, całe dni pasą stada, doją

owce, robią zentycę, bryndzę, sery owcze, — a krótka noc letnia zleci bezsennie, gdy kilka razy potrzeba obejść zagrodę i dojrzeć, czy się jaki szkodnik do niej nie zakrada. A szkodniki tu nie byle jakie: wilk, niedźwiedź, ryś—niezrządcy to goście i do dziś dnia w Karpatach lesistych. Ciężki żywot juhasa i na elegancję nie ma on czasu.

Wróciliśmy na Porzyżewską znużeni bardzo, lecz rozmarzeni górami. Kilka dni jeszcze spędziliśmy w gościnie u Janowskiego na ciągłych wycieczkach po szczytach Czarnohory, lecz nic bardziej osobliwego od tego, cośmy na Howerli, Dancerzu i Turkule widzieli, nie spotkałiśmy.

Ta kilkodniowa wszakże wycieczka w Karpaty i poznanie nowej części kraju rodzinnego zrobiły nas bogatszymi o całą wiązkę nowych wrażeń i serdecznych wspomnień,—a oto wszak chodzi głównie w porządnym samokształceniu.

Szkoda, że Karpaty lesiste tak mało są jeszcze zwiedzane, a przez to i mało znane.

Szkoda, że inicjatywa przemysłowa nie dotarła do tych kresów, nie otworzyła dróg komunikacji i nie wzbogaciła ludu huculskiego oświatą i chlebem. Mniemam, że na waśnie, klótnie, nienawiści plemienne i partyjne w Galicji najlepszym środkiem byłby... porządny przemysł i handel. A góry te mają wielką przyszłość przed sobą. Pomijając pewnikową możliwość znacznych bogactw kopalnianych, sam ten las dziewiczy czeka tylko rąk ludzkich i mądrego gospo-

darza, a rzeki i strumyki z bajecznymi spadkami czekają na to, aby z nich uczyniono motory.

Kraj huculów czeka ciągle na ten kaganek oświaty, który przyniesie serdeczna ręka jakiego „odkrywcy gór” z rodzaju Chałubińskich.



H o w e r l a .

Na wschodnich kresach Karpat, w Beskidzie Wysokim, wśród sióstr i braci stoi wysoka góra Howerla. Wzniosła dumnie szarą głowę wysoko ponad rodzinę i pobratymce, i cicha, zimna, majestatyczna patrzy w niebo. Uderza w nią wiatr halny, tłuką się o nią rozpętane, bezwładne chmury, słońce ją pali, woda moczy, wicher szarpie i bóg Kronos coraz głębsze na złomach jej turni zmarszczki znaczy rysami i rumowiskami wietrzącego łupku. A gdy jutrznia różowa wypłynie zwolna na seledynowe zorzanki widnokręgu, Howerla, w mgły srebrne otuloną siwą głową w śnie jeszcze tonąc, patrzy w przeszłość i widzi świt ziemi, w oparach rozłęczonych pograżony, widzi morza, walące potężnymi bałwanami w stopy jej, widzi bajeczne pejzaże z niezmiernych otchłani bytu i czasu, co szły szeregiem — jedno za drugimi — jak sny gorączkowe, łączące się w jedną czarowną, nieskończoną wizję.

Ocknieniem z tej wizji jest dla niej chwila, w której przybył „on” — człowiek, zdobywca świata, oracz krwawy, prawodawca zimny i nieugięty. Ziemia matka powitała go westchnieniem głusz leśnych, wichrów i chłódów, — szepcetem swej rannej modlitwy, ryku zwierząt, szumu i huku wód i serdecznym uśmiechem zorzy, co się rozlała, jak morze złota, po przestworach błękitów.

Matka go jeno tak witała, bo zewsząd było zimne szyderstwo, jad sarkazmu i pogardy dla najslabszego fizycznie potworka, który w oczach miał zorzy odblaski i tęskność dziwną nieba.

Howerla widziała go i znała od długiego dnia urodzin, patrzyła na jego wysiłki niemowłęce i dziecięce, patrzyła na piekło walki, otchłanie upokorzeń, szczyty zwycięstw i niebo uniesień. Była mu ona obcą, nieprzystępną, odkąd las dziewiczej regli, jak pustelnicy czarna włosienica, okrył jej boki, — odkąd głowa jej zbielała od śniegu białego. Lecz był jeden, co przyszedł do niej, zamieszkał na jej łonie i długie lata tam przebył w serdecznym z nią stosunku.

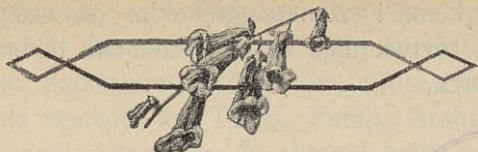
Był to Dobosz, zbójnik sławny na całe Pokucie, Bukowinę i Węgry, łupieżca srogi, okrutny i zimny, postrach i groza wszystkich bogaczy, a obrońca uciśnionych i nędznych.

Wypadł z kryjówek ludzkiego mrowiska z kresą krwawą na łbie, pianą na ustach i zgrzytem w piersiach, huknął po ciemniach i głuszach, i wnet zebrała się koło niego kupa chłopów jurnych a mocarnych. Dobosz został hersztem tej bandy i tak dzielnie ją prowadził, że wkrótce

posiedli już z napadów znaczne łupy, które przechowywano w niedostępnych miejscach Czarnohory. Tam była ich siedziba i schronisko, gdzie Howerla stoi wśród braci, gdzie tuli się do niej Dancerz i Porzyżewska, a przełęczami łączą się Turkuł, Homuł, Maruszevska i wszystkie turnie aż po Popa Iwana i Pietrosula. Howerla kryła tych ludzi przed światem, prawem i pogonią, chroniła ich żywot pierwotny w środowisku niedźwiedzi, wilków, rysiów, orłów. Gdy zginął Dobosz, kamraci odwrócili bieg jednego z wodospadów Prutu, co z Howerli się rodzi, zakopali ciało wodza, włożyli mu do grobu wszystkie złupione bogactwa i skarby, Prut napowrót dawnym łożyskiem puścili i rozproszyli się po świecie bez śladu.

Pozostał ślad na Howerli jedynie w postaci całego eposu legend i pieśni o sławnym zbójniku i w nazwach zbójceckich całej Czarnohory. Temperament naszych kresowców był w harmonijnej zgodzie z majestatem, dzikością i niezmiernym wyrazem siły i smutku Tatr i Karpat.

Dziś na czerepie Howerli sterczą kupy symetrycznie ułożonych kamieni; wyobrażają one kopce graniczne świeckich posiadłości Galicji i Węgier. Prut zato huczy i jęczy swobodnie, bryzga pianą i mieni się w słońcu, spadając srebrnymi siklawami z tarasów skał. W górze czasem zakwili żałościwie bielik samotny, a z doliny dolata głos trombity juhasa-hucuła.



Z Połagi.

Krwawa kula słońca stacza się zwolna w Bałtyk siny — i na zachodzie nawet już się rozświetliły seledynowe zorze wieczorne. Mewy z wrzaskiem lecą od morza do lądu, a fala płąsająca ze smutnym jakimś szumem uderza o brzeg piaszczysty, składając na nim dań codzienną — szarpie morszczynowe z uwięzłemi ziarnkami bursztynu. Góra Biruty stoi w glorii zorzy bielejących mgieł leśnych i tumanów srebrzystych z nad morza. Chylą się wszystkie sosny wysokie ku wschodowi, jak gdyby w pokłonie czci dla góry świętej, a cześć tę nakazuje im wiatr morski zachodni, który nigdy prawie nie ustaje. On to rzuca fale o brzeg, ciska piasek i żwir z głębin na mierzeje i ławice nadbrzeżne, on to „przechadza się samotnie po brzegu topieli” i przynosi całe wydmy z miejsca na miejsce jakby dla żartu.

Białe grzebienie fal z łoskotem uderzają o pale wystającego w morze pomostu i rozbryzgują

się z jękiem i szumem głębokim na wszystkie strony, roztwierając na mgnienie oka tajemniczą toń morza.

* * *

Żywica kopalna dawnych drzew szpilkowych (głównie *Pinites succinifer*) z utworów trzeciorzędowych, zwana bursztynem lub żółtą ambrawą, dawno już nurtem Eridanu i Borystenu dosięgała Grecji i Fenicji starożytnej, a w Rzymie specjalnie ceniona była (*electrum, succinum*) dla naszyjników patrycjuszowskich. Bursztyn i *sclavus saltans* — to rodacy.

Od bajecznych pogańskich czasów, kiedy kawały bursztynu były u nas monetą, kiedy praojcowie nasi wymieniali go u Szwabów na oręż żelazny, aż do dzisiejszych, kiedy prawo połowu jego rząd pruski sprzedaje z licytacji, fale morskie ciągle wyrzucają na brzegi strzępy morszczyków, w których tkwią uwikłane łyzy olbrzymów. Wartość bursztynu zależy od jego wielkości, zabarwienia i kształtu. Największą dotychczas znaną bryłę, ważącą około 7 kłgm. (wartości 10 tysięcy talarów), znaleziono w Schlapachen w Prusiech. Barwa jest żółta, przejrzysta, ciemniejsza z odcieniem czerwonym, niekiedy zupełnie brunatna z odcieniem zielonym; piękny jest bursztyn obłoczkowy, jakby spieniony, podobny do pianki morskiej, wreszcie rzadki czarny, jasny seledynowy i t. d. Używają go na rozmaite ozdoby damskie, na mundsztuki do cybuchów i cygarniczek, na kadzidła i kwas

bursztynowy, — w Połudze niewielkie fabryczki i tokarnie bursztynu zajmują się specjalnie wyrobem paciorków i różańców, które wszystkie idą na wschód do Turcji, Persji, Arabji i t. d. Przy mnie pakowano do skrzyni takie różańce, z których największy oceniony na 3000 rubli, ważył koło 10 fun. Bursztyn znajduje się u nas jeszcze w okolicach Lwowa, Trzebini i Ostrołęki, — mamy nadto miasto Bursztyn w Galicji w obwodzie Złoczowskim, koło Bohatyna, znane z dosyć bogatych łomów alabastru, a prawdopodobnie niegdyś, jak wskazuje jego nazwa, — i z tej żywicy kopalnej.

Bursztyn odkryto również w piaskowcach systemu kredowego koło New-Yersey, pomijając, że w Sycylji i Hiszpanji już dawniej był znany.

* * *

Na piaszczystej, gładkiej „plaży” morza igrają — jak małe kocięta — całe dziesiątki miejskich dzieciaków. Bose to, umorusane, pochlapane wodą — cały dzień babrze się na płytkim brzegu w miękkim piasku, kopie doły, fortece, zatoki, puszcza korkowe okręciki na morze, lub grzebie w morszczykach, szukając bursztynków okruchowych. Istny też to raj dziecinny. Z morza i lasów nadbrzeżnych idzie taka cisza marząca myśli, że rodzicom, opiekunom i bonom samym chciałoby się w niej utonąć; więc dzieciakom już nikt nie zawraca głowy konwenansami i dystynkcją, robią, co chcą — i przyroda (pierwszy raz może w ich życiu) przytuła ich do siebie,

poi ich balsamicznym tchnieniem lasów żywicznych i zdrowym szczerym wiewem morza, nasyca im ciała zdrowiem, a młode pisklące dusze swobodą. Wszystko tu jest na ich usługi, bo nawet ten morszczyń pęcherzowaty (*Fucus*



Na plaży.

vesiculosus) po którym depczą i w którym grzebią, oddaje im jod, parząc często bosc nóżki. Oto cała ich gromada z wrzaskiem rzuca się na to miejsce na brzegu, na którym fala — wędrownica złożyła przed chwilą czarną, silnie pachnącą wiązkę morszczyńów. Siadają wszyscy na ziemi i grzebią rączkami w wiązce, wybierając okruszyny. Jeden chopczyk znalazł dość spory

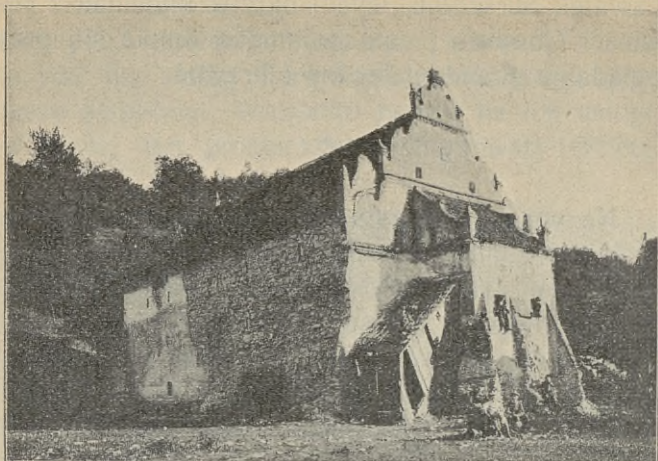
kawałek bursztynu, wydał okrzyk Indianina z powieści Coopera i cała gromadka skupia się przy oglądaniu skamieniałej łyzy olbrzyma.

*

*

*

Na wydmach przybrzeżnych—jako pierwsi wysłańcy bogini Flory na ziemię pustynne — rozsiedli się różni przedstawiciele rodzin traw suchych. Pierwsze miejsce zajmują tu turzyce ostre i piaskowe (*Carex acuta* i *arenaria*), które nawet w lotnych smugach piasku wysokimi kępami rosnać potrafią. Przyjdzie burza, wiatr zniesie całą wydmę - a turzyca żyje i rośnie dalej, silnie uczepiwszy się korzeniem stałego gruntu. Inny znów wiatr zasypie całkiem z „głowami” dużą kępę turzycy, — aliści po paru dniach — patrz — a już się wykopała — i końce liści jej i kłosa całe sterczą nad piachem!



Królewskim szlakiem.

Nie mogłem się dobrze rozgarnąć we wszystkich rozkosznych uczuciach wyjazdu na wieś i wypoczynku po ciężkiej i zmudnej pracy, gdyż od samego wstępu na Dworzec Nadwiślański wziął mię w objęcia i opiekę kolega mój gimnazjalny Romcio Pąkalski, obecnie lejb-medyk kahału i kupy łyków w stołecznym mieście Odrzywole — tudzież aligator wszech-serc niewieścich tamże. Wspomnienie Romka zawsze wprowadza mię w stan operetkowy, gdyż łączy się bezpośrednio w myślach moich z bioskopem — że się tak wyrażę — wszystkich jego błazeństw, wyprawianych w gimnazjum. Więc też i zaraz, skoro

uplacowaliśmy swoje kształty i mantelzaki w wagonie, wyjechała przed nas nieboszczka klasa ósma z całym areopagiem nauczycieli i galerją kolegów.

Romcio był specjalistą w klasie od tak zwanych kawałów vulgo antraktów t. j. przerw w lekcji, w czasie których znikła na moment monotoność atmosfery klasowej i dawało się możliwość koledze nieszczęśliwie wyrwanemu pokrzepienia sił duchowych znakomitą suflerką kolegi zwanego Pudlem, dla jego głowy kędzierzawej. Otóż—kiedyś na lekcji księdza kanonika Zbierskiego—zwanego w szkole Melonem, dla dziwnego kształtu i zabarwienia czaszki zupełnie łysej, Romcio wznosił w górę z ławki swoją wytworną postać i—doczekawszy się chwili, kiedy padł na nią pytający, senny wzrok kanonika, wypalił jednym tchem:

„Proszę ks. kanonika—ja zwątpilem!..

Kanonik odstąpił krok w tył, wybałuszył oczy, otworzył usta, lecz nie zdążył jeszcze wycedzić sakramentalne swoje „Hebesie jeden”. Romcio wypalił:—„Bo co się—proszę ks. kanonika—stało z rybami w czasie potopu?”—Rzecz prosta, że wątek tak interesująco wszczętej dyskusji został podchwycony w tej chwili przez kolegę, zwanego Pawlakiem dla morderczego wyrazu fizjonomji, który zaczął dowodzić, że od pomieszczenia się wód słodkich z morskimi wszystkie ryby musiały powyzdychać. Kol. Chrzan zwrócił uwagę, że istnieją ryby słodko-wodno-morskie i t. d. A przez ten czas wyrwany, niżej podpisany, zdążył przeczytać cały, zadany na lekcję

rozdział z historii kościoła. Na takich to wspomnieniach kanonika, sławnego Siemiona Dormidontowicza (który twierdził—nawiasem mówiąc— że ogień skradziony przez Prometeusza z nieba to nie był żaden ogień, a „um” — zapewne jego Siemiona przyp. aut.), zacnego matematyka Edzia, filologa Komara i innych, zbiegł nam czas niepostrzeżenie aż do Puław, w których musiałem wysiadać. Dzieciństwo „sielskie-anielskie” i młodość „chmurna i górna” wyśpiewana czy zgrana nawet w tak okrutnych warunkach, jak dawne gimnazjum Apuchtina, dzwoni serdecznie wszystkimi strunami gęśli, jakąś niezapomnianą nigdy, okrutnie warcholską zwrotkę, która wpada do uszu zawsze w chwilach smutku i bólu, i rozjaśnia nietylko twarz, ale i duszę. Nic też dziwnego, że po namiętym uścisku Romka, któremu musiałem przysiąc na chejrym, że mu będę trzymał do chrztu jego potomka, taki roześmiany wsiałem w terkoczącą puławską dryndę, że nie spostrzegłem wcale, jak znalazłem się na Mokratkach — przedmieściu Puław. Odtąd poczyna się wspaniała aleja topolowa brzegiem Wisły, u stóp wzgórzy do Kazimierza biegnąca.

Bajecznie ciekawa jest różnobarwność i rozmaitość postaci tych ziem polskich, z którymi w ścisłej łączności, gdy się wglębimy myślą — pozostaje i wyraz kulturalny miejscowej ludności.

Weźmy taką Wyżynę Lubelską. Fundamentem tej wyżyny jest wapień glaukonitowy — zwany „siwakiem”, na którym dopiero leży opoka z marglu, t. j. gliniastej kredy. Te utwory wapienne przykrywa ziemia orna i napływowa pod postacią

to białego piasku, to rozkruszonego zwierzonego marglu, to mieszaniny ich z nieplastyczną gliną mamutową. Otóż rzeki pożłobiły w tej wyżynie aż do głębi przepuszczalnego zupełnie dla wody siwaka, urwiste, malownicze doliny—tak zwane tutaj „głębocznice,” na dnie których zalega obficie ciemna, torfowata, ze szczątków roślin powstała ziemia, zwana „borowiną.” Urwistość zboczy wskutek obsuwania się ziemi ciągle łagodnieje, mimo że las liściasty ciągle się stara je przykryć.

Malowniczość wyżyny warunkuje się właśnie fantazyjnością tych dolin i kopułowatych wzgórz, oraz ich niespodziewanemi dla wędrowca zmianami.

Bogactwem wyżyny są wspaniałe lasy wszelkiego typu—przeważnie liściaste (dzisiaj naturalnie—jak wiele innych rzeczy—szczątkowe), żywna ziemia dostatnio i zdrowo swe dzieci od wieków karmiąca, nie tylko chlebem powszednim ale i owocem, bo jest to jedyna część kraju, w której sadownictwo stanowi poważniejszą gałąź dochodów ludności, — no i zacna ongi gospodarka ludzka.

Toż to najbogatsza niegdyś część kraju, kraina mlekiem i miodem płynąca, w której zaciszu osiedlały się pierwiosnki i ziemowity pogodnej kultury narodowej.

Tu osiadł na wywczasy i dumę rządzą Wielki Król. Wspaniała kolonizator, prawodawca mądry, pogromca swawoli magnatów i szlachty, nieugięty oświeciciel, budowniczy i administrator kraju zapobiegliwy. Powiadają różni pisarze i ludzie uczeni o tym Królu-Orle, że „moc i potęga

ducha, któremi do dziś dnia u nas żywie, nie odrazu mu się dały w kolebce." Powiadają różni exhumatorzy, jakoby w młodości był on lekkiego i tchórzliwego serca i rozpustnych obyczajów, boleją „okrutnie” nad jego rzekomą ucieczką z pola bitwy płowieckiej i nad zamiłowaniem do cudzoziemczyzny. Phyl!. może o tym co i gwarzy ta wioska Bochoznica, leżąca, u wylotu doliny rzeki tejże nazwy do Wisły gdzie na wysokim wzgórzu widnieją malownicze ruiny zamku pięknej żydówki — Esterki? Mówią te ruiny bezwarunkowo, że król miał dobry gust... bo tak cudny, głęboki, polski widok roztacza się stamtąd na dolinę Wisły i na kraj lesisty, modry, zielenią młodą falujący, że aż się okrzyk wesoly z piersi zrywa i oczy śmiejące szukają jakiego kochania. Aleć stokroć więcej mówią, gdy rozwaga i statek ludzki do głowy po uroku powrócą, one śpichrze kaziernskie i ona biała strażnica dla łodzi i tratw po Wiśle-matce dobro ziemi wiozących, która ze szczytu góry nad miastem-cmentarzem panuje, i w lochach, której wieść gminna (tym razem niesłusznie pono) kości królewskiego hultaja — Maćka Borkowica umieszcza. Król ten, który duchowieństwu pozwalał „przenosić osady z prawa polskiego na niemieckie,” zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną. Pierwiastkiem architektonicznej energji może był ów wapień glaukonitowy?...

Spójrzcie w dzień słoneczny, jasny, z okna ruin kazimierskiego zamku na rozesłane u stóp waszych starożytne miasto, w którym tu i ówdzie sterczą jeszcze koronkowe resztki wspaniałych

gmachów i prastare mury kościołów i klasztorów! Zdaje się, że ten święty niosący na ramieniu małego Chrystusa i wspierający się całą jodłą,



Ruiny w Bochojnicy.

zstąpi zaraz ze ściany ratusza i pójdzie sobie przez Wisłę wbród.. het! na Wawel!.. bo co on tu jeszcze robi sierota?..

Tu w Puławach:

„Gdzie natura, zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbiorem,
„Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem,
„A Wisła niosąc życie zamorcom zgłodniałym,
„Zarzuciwszy wędzidła nurtom niewstrzymałym,
„Igra z rozkosznym brzegiem strzępem swym srebrzystym,
„Malując piękność jego na łonie przejrzystym!“^{*)}.

*) Jan Paweł Woronicz.

Czartoryscy na skład narodowych pamiątek wznoszą świątynię Sybilli, skupiając koło siebie pisarzy, poetów i estetyków, zakładają szkoły i drukarnie, gromadzą księgozbiory — oświetlają uczciwie „Przeszłość—Przyszłości,” tak przynajmniej głosi napis na świątyni. A dziś?.. Cóż się



Świątynia Sybilli.

stało z Twym przybytkiem o „sławna wyrocznio hesperyjskich krajów!!? Nad łąką wiślaną, w zorzy wieczornej duma park smutny jakiś i mimo ciągłych zmian ani weź nie może dostąpić szczęścia rzeczywistego służenia „przyszłości” narodu.

A wije się, wije szlak królewski brzegiem srebrnej Wisły, skręca dalej Bochoćnicą — w świat wyrajam!.. Tam na kresach jego — strażnica, Zamość stary. Znów koronki (nie brabanckie, ale nadwiślańskie) murów siwych, kolegiaty, księżnice, tummy, fortalicje...*) Tam ci hetman—kanclerz, wójt ziemi roztropny, zakłada już nie śpichrze, nie sybille, a akademję na wzór krakowskiej i banki dla rękodzielników.

O dziwna duszo narodowa!..

A oto i śmiech pusty i szyderstwo gorące, nie zimne. W Babinie pod Bełżycami wesoly szlachcic P'szonka, korzystając z życia towarzyskiego rozkwitu, zakłada „Rzeczpospolitą Babińską,” która podobno dużo jadła, piła i brykała, ale miała jeden z rzadkich skarbów—dowcip, majestatom, głupocie i pysze rzucający pod stopy bombę anarchiczną śmieszności. „Fraszki” to są strzyżyki i mysie-króle (roi się od nich tutaj szczególnie zimą), którzy wnoszą gwar, wesolość i pustotę w monotonię, naprzykład, jesiennego lub zimowego obrazu, akurat właśnie wtedy, kiedy najmniej na nie jesteś przygotowany. Zblazowana dąbrowa zabiera się do snu zimowego, wrony — ordynarnie drąc się po obdartych z liści drzewach opowiadają banalne kawały o kłopotach rodzinnych; wylękły zajęc przycupnął, słuchy położył i wąsami rusza, a tu ci z jakiego jałowca lub tarniny fyrk!.. wytoczył się malutki, wesolutki ptaszek, rozśmiał się wdzięcznie, mernął ogon-

*) miejsca obwarowane, okopane.

kiem i cirka cieniutkim głosikiem jakie takie pytanie „Co się stało z rybami w czasie potopu!!?.. i las — zapomniawszy o zimie — sz... sz... szumi od śmiechu tłumionego...

.

Dolina Bochotnicka jest nadzwyczaj piękna i malownicza, szczególnie na przestrzeni od Esterki do Celejowa, ponieważ wysokie jej zbocza są całkowicie jeszcze pokryte lasem liściastym i mieszanym. Księga przeszłości jest tu ciągle otwartą, karty zaledwie dotknięte i ruszone.

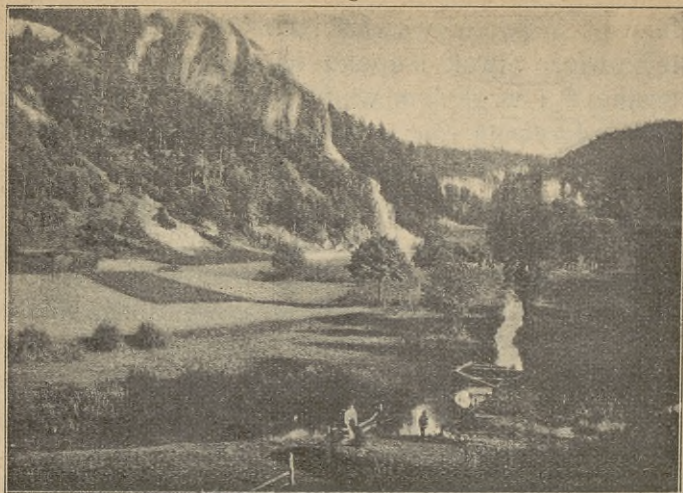
Raz wraz ktoś się natyka na cmentarzyska przedhistoryczne i żalniki, jak to ma miejsce np. pod Antopolem. Rzucają się w oczy każdemu pewne oryginalne kształty niektórych górtek, tak, żebyś przysiągł, że to muszą być kurhany albo usypiska strażnicze; witasz je więc tak, jak historyk wita pargaminy, księgi stare i poźółkle — pisane w niezrozumiałym dla niego języku. Rzecz wiadoma, że nic tak nie ekscytuje ciekawości, jak druk zatarty lub nieczytelny. Czarodziejska jest siła tajemnicy, zwłaszcza dla tych, którzy ciągle lubią „ze starych grobów kurze omiatać.” A przecież szukać specjalnie tutaj niema czego; tu się ludzie tak samo, jak na każdym szlaku łupieskim lub kolonizacyjnym tłukli, siekli — kładli pokotem piersiami na ziemi-matce przed nawałą tatarską, szwedzką i inną, broniąc zagród rodzinnych, pamiątek swych i kultury.

Dzisiaj prawdziwym bogactwem doliny Bochotnickiej są *źródła kryniczne* z większą lub mniejszą domieszką mineralną, szczególnie obfite w Ce-

lejewie, Wąwolnicy (właściwie Wawelnicy) i Nałęczowie. Siwak i opoka są zupełnie przepuszczalne — i względem wody opadów atmosferycznych odgrywają rolę naturalnego filtra, niepozwalającego zanieczyścić wody podskórnej, a wodzie żelazistej, z głębin idącej, dodają domieszkę wapna, która jej smak podnosi. Znany badacz tej doliny ś. p. doktor Kazimierz Sacewicz zwraca uwagę na niezmiernie małą ilość we florze miejscowej (pomimo borowiny!) roślinności błotnej, co dowodzi wielkiej zdrowotności gruntu. Wszystkie te warunki słusznie na Królewskim Szlaku stworzyły uzdrowisko ludzkie — Nałęczów.

Lecz oto... już go widać! Szeroka przedtym dolina zwęża się znacznie, znowu wznoszą się w górę wysokie topole nadwiślańskie z obydwuch stron drogi. Zapada zmrok ciemny, w którym się wszystko jednak dobrze widzi, na łączce ścielą się tumany srebrzyste, a z okien zakładu błyskają światełka.

Dom blisko!.. Bywajcie!..



Nad Prądnikiem.

Cicho i słonecznie upływały mi wywczasy nauczycielskie w Ojcowie w roku 19..., w którym to poraz pierwszy zerwał się z piersi młodej okrzyk o szkołę narodową. Wałęsaliśmy się, korzystając ze stałej prześlicznej pogody, całymi dniami po zboczach tej uroczej doliny, „przyrodnikując” sobie pomaleńku, jak się wyraził jeden z moich towarzyszy tych wycieczek. Moje gronko składało się z ośmiu chłopców, w wieku od lat 15-u do 20-u, uczniów klas wyższych szkół galicyjskich i państwowych rosyjskich, którzy od razu przygłąnęli do nauczyciela – przyrodnika, przez chęć

bardziej solidnego zaznajamiania się z przyrodą i rozumnego zużytkowania wakacji; — z biegiem czasu jednak, po upływie już tygodnia stosunek nasz z oficjalnego, sztywnego piedestału zstąpił do poziomu serdecznego obcowania i współżycia, które pozostanie na długie lata pamiątką przynajmniej dla mnie.

Postanowiwszy zgóry uzależnić swoje wyczasowe bytowanie od pogody i słońca, bobrowaliśmy po lesie ciągle w różnych kierunkach, gdy tylko było słońce, w upały chowaliśmy się do grot i jaskiń, zwiedzanych po kolei, świtaniami chodziliśmy na wschody słońca i na ptasie koncerty na górki, a wieczorem do zimnej kąpieli w Prądniku, co—jak mówi Deotyma — „hasa ze srebrnymi pstrągami u pasa.” W ten sposób, nie opuszczając ani spotkanej rośliny, ani złapanego owada, ani wygrzebanej skamienialiny, żyliśmy w całokształcie piękności doliny Ojcowskiej, dając zupełną folgę indywidualnym upodobaniom i zachceniom, pod warunkiem absolutnej obojętności dla wesołego i pogodnego zespołu.

Przypuszczam, że wszystkie najpoważniejsze wyprawy naukowe, nawet do tak oziębiająco wpływających miejsc, jak bieguny ziemi, tenże sam wdzięk posiadać muszą przedewszystkim dla człowieka, odczuwającego przepastną rozdzielkę pomiędzy człowiekiem — sobkiem, a człowiekiem stowarzyszonym. We wszelkich podróżach doznajemy dziwnej przyjemności, gdy mamy się z kim podzielić wrażeniami; — łączenie rozrywki z nauką, odpoczynku z korzyścią fizyczną i duchową, stale wytwarza pewną potrzebę wylewności i współ-

czucia, a te poszukiwania formy wyrazu są—jak wiadomo—najestetyczniejszą postacią pracy twórczej człowieka, który musi „naturam natura vincere.”

Wdzieranie się w tajniki przyrody nie obchodzi się bez przedsmaku uroku niebezpieczeństwa nawet w tak wydeptanym przez człowieka przedhistorycznego, historycznego i nad-człowieka (przyjmując pod uwagę wszystkich nastrojowców) miejscu, jak osławiony geograficznie kanjon Ojcowski. Jeden z moich towarzyszków, namiętny badacz wązkich jaskiniowych kurytarzy, tak daleko wpełznął w stalaktytowy chodniczek wody podziemnej, że musieliśmy go za nogi z tej pozycji bez wyjścia wyciągać z powrotem do życia normalnego. Drugi miał całkiem poważny zatarg ze zmiłą najgorszego charakteru i usposobienia; wyratowała go z niebezpieczeństwa rzadka grubość pończoch sportowych i inexprimabli. Pozatym parę guzów, liczne podrapania przy zdobywaniu rozmaitych skałek i miniaturowych krzesanic w dolinie prądnikowej, stanowiły nieodłączny dorobek młodzieńczej brawury. Ależ co za rozkosz w długich dyskusjach nad brzozą ojcowską — *Betula ojcoviensis Besseri* — czynić bajecznie śmiałe zarysy i konturowania zmian gatunkowych i przyszłych skupień roślinnych. Co za rozkosz oglądając wykopane przed chwilą „na wywierzysku” krzemienne okrzoski człowieka pierwotnego, jego noże, siekierki, igły, wisiorki, naczynia gliniane, wglębiać się w pachnący zbożem dzień letni, w oną przeszłość człowieczą, która dla młodości jest jakimś snem zaczarowanym. Co za rozkosz

podziwiać ilość i różnorodność odmian pliszki „ogonkomerdnej” nad Prądnikiem, lub leżąc pod łanem zbożnym, zapatrzeć się w roje złocistych muszek, gziących się w słońcu, i zapuszczać odważnie i myśli i język w dziedzinę, którą Arystoteles nazywał leżącą po za obrębem fizyki (meta ta physiká). Jeżeli kto nie wierzy i ma co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, radzimy spróbować naśladowstwa.

Krajoznawstwo, a właściwie po polsku mówiąc „nauka o kraju” jest dla przyrodników przysięgłych w cechu i wolontarjuszów ową śmietanką z uzbieranego mleka, owym majstersztykiem roboty, dla którego wolno poświęcać nawet „niedzielę,” aby dłubać się w robocie z rozkoszą; bo to nie praca, a rozkosz. To też słuchając szemrzenia wód prądnikowych, dobrze mieć literaturę krajoznawczą pod ręką, aby współczuć i współmyśleć z różnemi dobrymi krajoznawcami. Warto posłuchać, co mówi ś. p. ksiądz Staszic czcigodny, n. p. o strumieniu Prądnika. „I ten ponik co z początku ledwo sączył się pomału, co jeszcze, niechrzczony bez nazwiska bieżał i tylko rolniczych osad imiona sobie przywłaszczał, już i on ledwie dwie góry obiegl, tu bystry prąd mruży, po opokach warczy; a dobrze znane w dawnej królów naszych stolicy przybrawszy Prądnika imię, pieniąc się, huczając, rwie i rozwała skały, a okruchy ich starte, szumiąc, wynosi do Wisły całą rzeką. Wszędzie po tych skał oberwiskach, które chociaż wody odłączyły, przecie do szczętu rozburzyć nie mogły, zajmują rozmaite widoki.” Tym podobnym oddając się wspominkom w chwilach

fizycznego znużenia i odpoczynku na wycieczce, leżąc na malowniczych oberwiskach, przerabialiśmy formację Jurajską i jurę krakowską z przędzą złocisto-klechdową postaci Św. Salomei, Bolesława Wstydliwego, Henryka Brodatego, Władysława Łokietka, Szafranców, Toporczyków i innych, przyczym miałem nadzwyczaj ciekawe momenty obserwacyjne nad budzącymi się indywidualizmami u moich chłopaków i nad porównaniem wartości szkół galicyjskich z naszymi z pod zaboru rosyjskiego.

W pewnej chwili grono nasze powiększył w czasie takiego „mistycznego—jak mówili chłopcy—seansu w okolicach Pieskowej Skąły, mały chłopak wiejski, w wieku lat około 12-u, drobny, wąty z bardzo bladą i wyrazistą fizjonomją, z jakimś stałym zapytaniem w dużych zielonych (nie niebieskich jak to zwykle bywa w powieściach) oczach, które bez zmrużenia, uporczywie wpatrywały się w mówiących i dyskutujących i żartujących panów „studentów.” Zjawiał się przy nas potym—czy to w gąszczach, czy w jaskiniach niespodziewanie, za zaszczyt uważał sobie noszenie któregośkolwiek z naszych sprzętów przyrodniczych, wszystkiego słuchał z wyteżeniem, a ośmieliwszy się bardziej do nas, zamęczał pytaniami. Z góry uprzedzam że nie był to ani „Janko—muzykant,” ani żadne inne cudowne dziecko, czy też gienjalny znajdek ludzki, a zwyczajny sobie aspirant do stanu nie duchownego, a uduchowionego, dość pospolity jako gatunek w tych stronach, gdzie lud wogóle jest dzielny i do nauki chętny i gdzie pracowali nad nim serdecznie

w czasie wywczasów nauczyciele tej miary, co ś. p. Adolf Dygasiński.

Nie przypominam sobie wskutek jakiego wypadku przylepiono do niego towarzyskie „woła-
nię” — Mowgli, ale pamiętam że chłopak potrafił
czasami pysznie opowiadać i wogóle—umiał two-
rzyć w kunsztownej gwarze małopolskiej rzeczy
nadmierzaj ciekawe dla tych, którzy się w języ-
ku rodzimym lubowali. Otóż kiedyś ten utożsa-
miany z bohaterem kiplingowym młodzieniec stwo-
rzył przed nami cały poemat nocy „Boh-boru.”
Opowiadał nam mianowicie, jak zmuszony do spęd-
zenia nocy w jednym z bocznych jarów zalesio-
nych doliny Sąpowskiej całą noc walczył z wi-
dziadłami. Noc była letnia, cicha, bezksiężycowa —
„taka co to słyhać jak drzewa ze sobom
gadają i jak trawa się porusza sama” — mówił
chłopczyna—„taka, co sinemi usty o słońcu dziw-
ne pieśni śpiewa, kiedy na niebie jest złota gwiazd
ulewa” — doszeptał jeden z moich towarzyszków...

— Tak ci mi było na początku straszno, a po-
tym mię odeszło, tylko tak jakoś dziwnie. Leża-
łem sobie pod krzakiem na mchu cichutko, a tu
koło mnie szły łanie gęsiego, jedna za drugą, co
parę kroków przystając, mógłbym je ręką pogła-
dzić, gdybym chciał. Potym biegło coś, pies nie
pies, bo nie węszyło, nie wilk, bo mu się ślepia
nie świeciły, szare, duże z dużą głową, włocho-
te — z chudym opadzystym zadem. Wyleciało ci
to na polankę, gdzie było widniej, i, gdzie by-
ło tak srebrno od mgły, i zawyło takim dziwnym
głosem, jakby się stary, mocny chłop rozplakał.

— No i cóż to być mogło, według ciebie?” — pytał jeden z uczniów.

— Ja to wiem, wilkołak — a może koźlec?.. Panowie mówią, że ich niema, żeby takim bajkom nie wierzyć, a przecie i wy też dużo nie wiecie i powiedacie, że wiele rzeczy nie może objaśnić nawet dobra książka, nietylko mądry człowiek. Jak zawyło, ta ci w tej mgłę całkiem znikło, jakby się rozpląnęło. Nie miałem nijakiego strachu, choć mi serce tłukło się w środku, jak ten ptak w skrzyni. Nie byłem przecie zamroczony, ani śniący, bom słychał nawet cichuskie poloty sów, puhaczy i nietoperzy... słyszałem jak strumyk sąspowski szemrał nocną koronkę gdzieś w dolinie i jak gadzina w gąszczu paprociowym — widać na żersy cząła. Tak było całą noc w tym lesie, jak w tej bajce, a na świtanie to z tych grót w jamkach zaczęły się sunąć jakieś wielkie jelenie, z takimi łbami krzaczastymi do góry zadartymi, jacyś ludzie, czy duchy w takie skóry kudłate poprzybierani.. Zmogło mnie... Leżałem potym w izbie chory przez tydzień, tatulo nawet po doktora do Goplany chodzili..

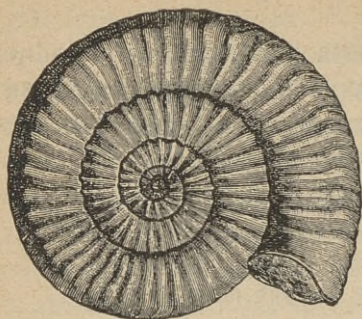
Przyglądałem się mojej gromadce. Opowiadającemu twarz pobladła ze wzruszenia, źrenice miał rozszerzone, ręce mu się trzęsły — ze słuchających żaden się nie śmiał i nie dowcipkował. Przeciwnie — słuchali w jakimś głębokim skupieniu i nie przesadzę, gdy powiem nawet — zasłuchaniu. Pomędzy temi dziećmi inteligentów, między uczniakami i małym Mowglim z Ojcową, w tę ciszę przedwieczorną na uroczym oberwisku jednej z najpiękniejszych dolin polskich, poczęła się

tajemnicza współdzielczość dusz młodych, jasnych jak zorze, gorących....

Nasz przysięgły poeta i deklamator w jednej osobie wniósł tylko swoje ładne, głęboko patrzące oczy do nieba, i szczerze, czy też nieszczęrze natchniony, począł mówić półgłosem:

O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między starami i młodemu laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.

Na zachodzie już się zaczynały palić czerwone zorze zachodu. Oberwisko z moją grupką było całe w złotych blaskach i migotaniach drobnych listków kępy brzeziny. Cichy był i piękny czas wywczasów letnich.



Ammonity.

W czasie jednej z moich wędrówek tułaczych pomiędzy dolinami Dubissy i Anczy, na Żmujdzi Świętej ziemi, wypadło mi dla popasu koni zatrzymać się dłużej u kowala w pewnej wiosce.

Siadłem sobie pod wystawką sieni i z nudów zacząłem wodzić sennemi oczyma po otaczających mnie przedmiotach. Momentalnie zniedołężniała z niewywczasu uwaga moja skupiła się na dużych, okrągławych kamieniach, podobnych do niewykończonych kamieni młyńskich, które stały szeregiem oparte pod ścianą.

Mądrości przedwieczna!.. to były ammonity!.. O dwu-łokciowej przeszło średnicy, 4-5 skrętach labiryntu i typowych karbach pobrzeżnych!

Obok nich siedział starowina skulony, z fajką w zębach, który, położywszy jeden największy ammonit na ławce, pracowicie wodził po nim dłutkiem, a dłutko pobijał jeszcze młotkiem drewnianym. W ten sposób zdążył on już powybijać ammonitowi wszystkie „zęby” z jednej strony, i odbić wystające po za okrąg wejście muszli;

pozostawała mu—jak stwierdził sam zainterpelowany — jeszcze najcięższa część roboty: — wydłubanie w środku kamienia otworu, aby gotów był zupełnie do... żaren. Ten sam los oczekiwał zapewne w przyszłości i towarzyszy skamieniałego jurajskiego mięczaka, którzy — jak zeszcłę trupy w klasztorным lochu—sterczeli ustawieni rzędkiem pod ścianą.

Na razie—tknięty sprężyną pretensjonalności naukowca, o mało że nie wylałem przed kaprawym dziadowiną całego oburzenia i bezmiaru goryczy na splugawienie pamiątek kościoła przyrody; ale bajeczny wprost spokój i pogarda dla rzeczy doczesnych a znikomych, jakie wiały z jego chylącej się w ziemię postaci, wraz z rozbie-
rającym mnie znużeniem i sennością zdecydowały o mojej neutralnej postawie w tej kwestji.

Za nędznego srebrnika i jednego papierosa zgodził się staruszek z ochotą zaprowadzić mię w parę chwil potym do miejsca, gdzie wydarł z łona ziemi-matki tak kształtnie dla jego interesownego oka zbudowane kamienie.

Było to dość wysokie urwisko w pobliżu dużego strumienia, wytworzone przez wybieranie piasku do robót mularskich w sąsiednim dworze.

Nie mam najmniejszej wątpliwości w wspomnieniach moich, że do dziury tej rzuciłem się z pasją i namiętnością, że powalałem sobie literackie kończyny, grzebiąc cuchnącą glinę podglebia, że zniszczyłem niewinną odzież na kolanach, klękając nad pękniętym grobem pobielanym świtu ziemi... Ale nie weźmie mi chyba nikt tego za złe, że nie odkryłem stande pede morskich

wapieni i dolomitów „posiadających różne barwy od czarnej do białej,” że nie zbadalem „erozji i denudacji” doliny szemrzącego klechdę strumienia, że nie wyśledziłem ani „tarasów,” ani „horstów,” ani „fos” że ostatecznie — utkwivszy nosem w tym tajemniczym dokumencie z ksiąg żywota żmujdzkiego pojezierza — nie podniosłem go z kichnięciem „heureka!” (a nie eureka, jak często stoi w kurjerach).

Nie!.. Ja porównywałem tego dziurawego amonita z rozsypanemi i znieważonemi prochami hetmana Żółkiewskiego, któremu bogobojni parafjanie zabrali cynową trumnę dla zrobienia z niej puszczalek do organów. No i przyszła mi wtedy bluźniercza myśl do głowy, że duch bohatera z pod Cecory, mając po śmierci zapewne już zupełnie dokładne pojęcie wartości wszelakich pamiątek i trwałości pomników, nie zlorzeczy temu dziełu parafjan, chociażby w imię tej samej zasady, która grabarzowi Syrokomli każe życzyć, aby z jego prochów dla ludzi wyrosła jaka pszeniczka lub maczek polny.

Jak znacznie wyżej stał ten ciemny staruszek od owej światłej ludzkości, która tak jeszcze niedawno uważała kości mamutów za kości aniołów strąconych z nieba i dlatego je niszczyła, — od ludzkości, która tworzyła styl gotycki, aby przed kościołami palić na stosach cichych badaczy przyrody!..

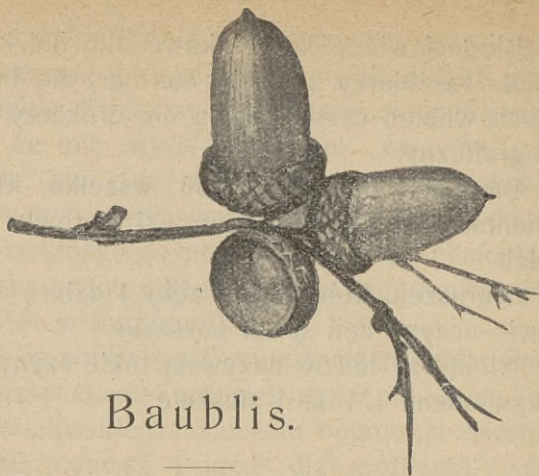
Światłem ludzkości jest postęp, który kopie z ziemi łona dla pieców fabrycznych węgiel kamienny, wierci tunele i przez ostępy głusz odwiecznych prowadzi koleje żelazne.

Błogosławione jest ciekawe oko ludzkie, które dla rzeźbiarzy znalazło marmur, dla budowniczych wapień cerytowy—a dla drukarzy wapień litograficzny.

Błogosławiona jest dłoń wszelka, która na cmentarzach i żalnikach wznosi budowle przyszłości!

Staruszek, który wybił zęby i dziurę ammonitowi—uczynił zeń *sprzęt użyteczny*.

Niektórzy ludzie nazywają takie czyny—uspołecznianiem. Może i słusznie...



Baublis.

„Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie,
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?”

Pyta się Mistrz Pieśni — i pytanie to jego jest silnym a potężnym wezwaniem do szacunku i czci dla „pomników naszych,” hasłem strzeżenia naturalnych pamiątek kościoła narodowego.

Czy żyje Baublis?

Pomniki granitowe w prochy się rozpadają i giną w pomroce wieków i zapomnienia, chociaż — zda się — że się śmierć ich nie ima, a cóż dopiero drzewo kruche, któremu śmierć wraz z urodzinami jest przepisana. Nie mógł już żyć w ścisłym tego słowa znaczeniu Baublis wtedy, gdy się o niego Mickiewicz w pieśni pytał; był on już wtedy szkieletem olbrzyma ściętym i spróchniałym, takim, jakim jest dzisiaj.

Jadąc z Szawel w kierunku Taurogów po pięknej i malowniczej Żmujdzi, warto wstąpić do ma-

łego i mizernego miasteczka Skaulwil, choć na parę godzin, aby stamtąd zrobić niedaleką a ciekawą wycieczkę do stóp Baublisa.

Zjedźmy ze stromego „Smertkalnisu” (góra śmierci) zaraz za Skaulwilami, przejedźmy w bród rzekę Anczę, której urwiste wysokie brzegi przykuwają nasz wzrok do siebie, a wjedziemy powoli na szerokie płaskowzgórze, z którego tak piękny widok się roztacza, że nie pozostaje nam nic innego, jak deklamować sobie „Pana Tadeusza,” o ile naturalnie fatalne wyboje i kamienie na drodze pozwolą nam na taką równowagę duchową.

Był tu kiedyś las i to las stary, potężny; zabrała go w całości w ostatnich czasach kupiec-ka siekiera.

Gdzieniegdzie torfowiska, kopaniny, kopczyki, stawy połyskują stalowemi potężnemi oczyma z pod narosłych brwi łóz, topoli i trzcin wodnych; tu i owdzie rozdlubane dolki, w których widać tłustą glinę i żwir. Mijamy wieś Trepę i powoli zmierzamy dróżką wśród „pól, malowanych zbożem rozmaitym” w dolinę drobnej rzeczki Pęły. Tu na gruntach wsi Bijaty, własności p. Wolmera, na wzgórkach za rzeką, w małym lasku, spotykamy, jakgdyby dwa wielkie grzyby, mchem porośłe, lecz zato drzwiami i okienkami opatrzone. Święty dąb, Baublis, miał niegdyś dwa pnie i rósł w zupełnie innym miejscu, o pół wiorsty dalej na wzgórzach. Wypróchniałe trzony dwu pni, przewleczono tutaj, postawiono na podmurowaniu z kamieni i przykryto oryginalnemi daszkami.

Przed kilkudziesięciu laty w jednym z tych domów mieszkał znany poeta żmujdzki, Paszkie-

wicz (Poszkas), którego utwory podobno przed paru laty jeszcze można było czytać na wewnętrznych ścianach oryginalnego schroniska. Jego to zapewne roboty są te drobne półeczki na ścianach, ten stół z kamienia, młyńskiego czy żarnowego zrobiony, i ławy pod ścianą. We wnętrzu jednego pnia, w którym może — ale z biedą coprawda — zasiąść 12 osób, znajdują się jakieś pordzewiałe rupiecie: są to hełm, kirys i kolczugi, z ziemi wykopane — podobno litewskie. Nicby zresztą w tym dziwnego nie było — dąb stał na uroczysku pogańskim, w którego bliskości musiały być żalniki i cmentarze. Rozgląda się człowiek wokoło, pragnąc sobie ten pejzaż ze zmierzchu omszonej przeszłości odtworzyć.

Tam, gdzie dąb taki rósł bujnie i dostąpił czci boskiej u ludu, musiało być miejsce w „rówienników litewskich wielkich kniaziów” bogate, musiał kwitnąć gaj zielony, otulony w senną ciszę uroczyska i czci religijnej tych milczących, zimnych na wierzchu, a gorących we środku rycerzy: Witenesa, Mindowy i Skirwojły. Dzisiaj... z tego ani śladu. Gdzieniegdzie łaski młode, dąbrowa młodzieńcza; u stóp wzgórza bajory i mokradła, ani śladu uroczyska.

Zwraca uwagę tylko szczególna budowa wzgórza, na którym dąb stał niegdyś, — jestto prawidłowy czworokąt o bokach foremnych, połączony jak gdyby groblą czy wałem z sąsiednim wzgórzem. Zwracają uwagę wędrowca łaskawi mieszkańcy tej okolicy na leżący pod jednym z domków Baubliśa, rzekomy „kiel mamuta.” Faktycznie

nie jestto żaden kiel, lecz część zebra jakiegoś paleotologicznego stworzenia, która czeka gościnnej wizyty specjalisty, aby ją określił. Wogóle dużo tu rzeczy czeka z utęsknieniem rąk zręcznych i oka światłego. Słyszałem od p. Girdwoynia, znanego ichtjologa, o znajdowanych ammonitach; glazy narzutowe, jeziora, stawy i charakter kraju dużo mówią o pojezierzu bałtyckim;



Pień Baublisa.

spotykany gdzieśgdzie gąbczasty tuf wapienny szepcze ciekawe klechdy o swoim pochodzeniu, ale wszystko to jest zbyt amatorskie i zbyt pobieżne.

Stokroć jaskrawiej rzucają się w oczy rozmaite piętna ciężkiej, uporczywej walki człowieka o prawo posiadania tej ziemi. W powiecie rosińskim, jednym tylko, w kilku miejscach widzimy prawidłowe okopiska wojenne, czasów chyba krzyżackich sięgające; tu i owdzie typowe kur-

hany; rozmaite Kryźborgi i Plemborgi wśród nazw, kończących się na „iszki” i „enie.”

Drogi na Żmujdzi są tak obsadzone krzyżami, że zdaleka robi to wrażenie słupów telegraficznych. A pomimo to jednak więcej tu echa czasów pogańskich się słyszy, niż gdziekolwiek indziej. Pieśń o Perkunasie *) („Perkune diewajti”) zna lud, a do dzisiaj wierzy święcie w „Ajtworasa.” Ajtworas jestto dobry demon, który w postaci srebrnej nici ukazuje się człowiekowi w powietrzu,—wybrańcom swoim przynosi do domu szczęście i dostatek dopóty, dopóki do spowiedzi nie uczęszczają. Skoro zaś człowiek odbędzie ten sakrament, Ajtworas opuszcza go i zaczyna wszystko z domu wynosić. Mało kto z ludu choć raz w życiu nie widział Ajtworasa. Oryginalnemi wielce są też klechdy żmujdzkie o cyklopach, z których każdy, oprócz jednego oka posiada także jedną tylko nogę i dlatego to cyklopi wędrują zawsze parami, trzymając się pod rękę i podskakując.

Dzisiaj już ta cześć dla Baublisów i Dewajtisów, kult pamiątek prahistorycznych, nie jest bynajmniej puścizną balbochwalczą — przeciwnie, jestto wyrozumowana miłość dla „musu ziemia szwienta,” dla której w końcu pacierza jest osobna, śliczna w swej prostocie modlitewka.

Baublis, spróchniały i martwy, żyje do dnia dzisiejszego u ludu żmujdzkiego, jest jednym z symbolów jego wiary i ideałów.

*) „Perkune diewajti, ne muszk' Żemajtin, bet muszkie Gudan keip szunin rudan.” (Perkunie bożku, nie bij w Żmujdzina, ale bij w Gota, jak w psa rudego).



W lesie.

Nie poblady jeszcze gwiazdy nocne i nie skuliły się w mgłach rannych drzewa przydrożne, gdy dziwnym losu zrzędzeniem, w pogodną noc letnią wyrzucony zostałem u skraju lasu z rodzinnego wolanta, który w gwarze najmłodszych latorośli mego rodu nosił nazwę „trupiarki.” Słabo poetyczna nazwa tego trzeciorzędowego wehikułu pochodziła stąd, że w dramatycznej kronice wypadków prowincjonalnych kilka razy spełnił on funkcję karawanu względem ludzi, multum razy względem lisów, trutych „na grzanki i gałki” — i raz jeden względem starej poczciwej klaczy, która w polu nogę złamała. Wyrzucony z 10 łokciowej tej bryki, konsekwentnie z teorią balistyki, łbem naprzód do rowu, momentalnie wytrząchnąłem z siebie resztki snu i strawiwszy parę cennych chwil doczesnego żywota na pozbieranie z ziemi stłuczonego indywidualizmu, z furją zwróciłem się do gamajdy furmana, konopiasto głowego Kazi-

mirka. Leżał on dla symetrii z drugiej strony rowu, w pozycji urągającej wszelkim konwenansom, między nami sterczała trupiarka ze złamanym dyszlem i kołem, — z kobyłek jedna wierzgała „w niebogłoty,” wyrażając się stylem współczesnych, obecnych wybrańców Muzy, druga próbowała zdjąć ze łba chomonto zapomocą skombinowanych ruchów głowy. Pozycja była nadzwyczaj krytyczna, położenie dramatyczne, moje wymyślenia Kazimirkowi, jego drodze, koniom i drzemce na nic się nie zdały. W imię więc zasady „Candida pax homines — trux decet iras feras” (Biały spokój przypada ludziom, gniew wściekły zwierzętom) postanowiłem machnąć ręką na lokomocję kulturalną i — powierzwszy jej dalszy los roztropności gienjalnego Kazimirka, udać się na stację kolei żelaznej krótszą drogą przez las na przelaj.

W zwartym gąszczu dębniaka i leszczyny stał jeszcze granatowy cień nocy, a szczyty wysokich sosen i jodeł już się zaczęły powlekać bladym mdlejącym połyskiem światła zarania.

Zbolały i pełen goryczy przedzierałem się przez gąszcze, starając się nie zboczyć z raz obranego kierunku. Las stał senny w głębokiej ciszy, wśród tajemnic i zagadek dla zmysłów przeczułonych lub nierozwiniętych.

Stały mi w oczach wszystkie wilkołaki, czarownice, Madeje, Waligóry i Wyrwidęby, — wogóle cała pieśń lasu z eposu, wysnutego na mój benefis nasamprzód przez starą niańkę, a następnie przez ś. p. K. Wóycickiego w dzieciństwie sielskim za pośrednictwem druku. Dlaczego wo-

góle ludzie twierdzą, że dzień jest prawdą, zeznaniem, oczywistością, a że noc kłamliwa mami, oślepia, skrywa prawdę i stwarza halucynacje?

Sokołowi nie wypada zabawiać się praktyczną kontemplacją kiedyindziej, jak tylko w dzień, sowie — w nocy. Hymn ciemności, w którym udział biorą pułhacze, puszczyki, sowy, kuny, tchórze, lisy i gadziny, ani na jotę nie jest więcej minorowy od hymnu jasności walki dziennej, otwartej, który wraz z hymnem życia w słońcu zaczyna grzmieć od zarania.

Walka o byt wre wszędzie z jednakową siłą, bez względu na porę dnia i pogodę. Podstęp, zdrada, fałsz i okrucieństwo nie tylko nocnych mroków są udziałem, — przez dzień cały ich pełno wszędzie, lecz że w nocy większość stworzenia Bożego chrapie i pragnie szacunku dla swego snu, więc są one tylko bardziej widoczne i jaskrawsze, tak jak i cnoty są wskutek tejże samej przyczyny w nocy mniej dostępne uwielbieniem ogółu niż w dzień.

O ciche i tajemnicze mroki leśne!.. Może i to wam włączą do protokołu kryminalnego, że na spróchniałych pniach starodrzewiu, które nie zdołały jeszcze w proch się obrócić zupełnie i leżą w nieładzie na ziemi, jak zwalone tytany, już kielkują, żadne życia, młode pokolenia?..

Na rozkładającym się trupie ojca z bezecną figlarnością już się krzewi młody, jędrny świat nowy i przez gąszcze konających konarów pnie się wesoło do światła, zapominając zupełnie o tym, skąd wyszedł i że jemu również trzeba będzie walczyć. Czyha już na niego brat rodzony, za-

zdroszczący mu kęsa ziemi, odrobiny powietrza i słońca, czyha mrok, czas, wiatr, nawałnica i szeregi małych, nikczemnych urodą pasorzytów, — a w nim jeno pustota i wesołość młodości, nieopatrna i śmiała.

Las дума... Wyrazem drzew szpilkowych jest powaga i głęboki spokój, który szczególnie u jodeł i świerków przechodzi w ponurą sztywność. Postać drzew liściastych o pojedynczym zielnym i odpadającym liściu jest barwna, wdzięczna, żywa, jak postać istot, które czas rzeźbi, zmienia, charakteryzuje w określonym z góry przez prawo porządku, toteż zbiorowiska ich i kępy, zależnie od rodzaju i rodziny, mają każde swój indywidualny wyraz. Dąb stoi murem na ziemi, jak chłop mocarny na zagonie — i czeka wichrów; jesion czeka słońca obok rozmodlonej brzozy płaczącej; wierzba płaszczy się, a jarzębiaki marzą. Sokora tłumu nie lubi i pnie się zawsze „nad poziomy” w osobności, a buk to istota egzotyczna, znosi tylko pewne warunki bytu, stąd i wygląda tak nieswojo. Zato paprocie przypadły skulone wszędzie po kątach i rozdołach do ziemi i jak ciche mędrce patrzą w przeszłość lasu. Płynie ona jak pieśń, kojąca serce w smutku, przez łono ziemi, przez opokę gliniastej kredy, przez margiel, wapienie, löss, które — jak wszystkie cmentarze — są wielkimi księgami tajemnicy, — tego, co już było, a co się nie wróci.

Pocóż zresztą „ze starych grobów pyły omiatać,” gdy wokół nas nie wieczna śmierć i zapomnienie, lecz blaski, tęcze, akordy młodej pieśni wciąż potężniejszego życia!?... Toteż paprocie

skarłały już dzisiaj i są jak starzy szperacze, obcy światu, otoczeniu i młodym, do których z gorącą szepczą słowami Fausta:

...Tak, rozum wasz do gwiazd rzekomo sięga,
Lecz przeszłość jest to tajemnicza księga
Na siedem zwarta pieczęci...

Poczyna świtać. Pierwsza naiwna lasu, plotkarka - sroka rozdarła powietrze skrzeczącym głosem, furknęła przez polankę, kucnęła na wiotkiej gałęzi, dygając w tył długim ogonkiem. Oto w omglonym gąszczu drzewnym cały ptaszęcy gwar rozdzwonił się, powtarzając słowo „świt” na różne tony i modulacje, czemu w takt z uznaniem zaczęły przystukiwać dzięcioły i żolny.

Las się budzi,—mgłami z łąk przeciera oczy, ziewa świeżym balsamicznym tchnieniem żywicznym i poczyna szeptać poranny pacierz szumem drzew — cichym i poważnym, jak szept modlitw zakonnych w wielkim, pra-ojczystym tumie. Unoszą się dymy z kadzielnic — łąk i moczarów — w postaci srebrnych mgieł i tumanów, w błędnych płaszcach powiewnych, snujących mieniące się w zorzy przedziwo, podnoszą się zorze promienne na ołtarzu sinym drzew dalekich, rozspiewała się z chórów gędzba ptaszęca — i świat stanął w glori dnia.

Mrok, złuda, tajemnica pierzchły w ciemne głębie lasu, a na jaw boży wyszło życie gwarne, zgiełkliwe, pracowite. Zafiukały od samego rana wilgi - zbytnice, co nie zawsze ściśle zmianę pogody przepowiadać lubią, zadzwoniły dzwońce, zięby i czyżyki, zagwizdały przeciągle

kosy. Wyrwał się w pole, nisko lecąc nad ziemią, dudek czubaty, słynny z niezmiernego niechlujstwa w gnieździe własnym, które mu zupełnie odebrało szacunek współobywateli. Zagwarzyła cicho i zaszczebiotała w jarzębinie kraskamazurka, strojna, barwna i kwiecista jak dziewczucha na odpuszcie, wylecieli nad polankę strzyżykobertasek i skowronek leśny — szary, skromny chłopiec, co bez przyśpiewki roboty żadnej nie lubi. Wróblowate są śmiechem i dowcipem lasu, tak samo, jak sowy są jękiem jego nocnych koszmarów. Są to istoty przeznaczone na świecie na to, aby sam ich widok szerzył naokół humor, pogodę, wesołe zapatrywanie na życie i pracę, aby ich śpiew, gwar, szybkość i zręczność ruchu, niosły myśl wszelaką w słońce. Wypada bo czasami (aby już zupełnie nie być posądzonym o wrodzoną lekkomyślność) wysłuchać nudnej, zgorzkniałej tyrady puhacza lub puszczyka o śmierci, ponurych przepowiedni przyszłości kruka, bezładnych i głupich plotek wron i kawek, które z byle głupstwa robią dramat i zamieszanie, ale tego wszystkiego miłującemu pracę i obowiązki wypada słuchać rzadko, bo życie jest piękne, świat uroczy i zdobywać je trzeba pogodą ducha. Rozpaczliwy krzyk ofiary, rozdieranej przez jastrzębia, na krótko wstrzymuje tylko bicie serc w ptasim tłumie, i za chwilę znów potężny gwar życia wszędzie rozbrzmiewać musi.

Pieśń słowika rozmarza, koi, wiedzie w świat uroków i cudów — i dobrze jest, że wieszcz ten głosi pieśni swe tylko wieczorem, w noc i na zaraniu, kiedy mu gwar nie przeszkadza, bo ina-

czej zbyt by się rozczulił i rozkleił świat siermiężnych i chodaczkowych pracowników, których udziałem jest krew i pot na zagonie, a pieśń tylko spoczynkiem i wytchnieniem.

Ostrzegawczym, nie pytającym jest głos kukłki, którą życie tułacze oduczyło najpiękniejszego celu żywota—chowania dzieci, a dziś gdy tryb życia jej zmienił się zasadniczo, nie ma ona gniazda, ciepła rodzinnego i jest tylko nieszczęrą, skrytą i ostrożną w postępkach samotnicą.

Słońce wchodzi do lasu. Ozłociły się wysoko czerwone pnie sosen strzelistych, rozświetliły się w całej harmonji barw, tonów i półtonów wszystkie kępy, gąszcze, wirchy i krzesanice szczytów drzewnych aż het! po sine smugi dalekiej polany.

Kryjesz — lesie — skarby życia, źródła wód i wilgoci, które w dnie skwaru i spiekoty ssie z ciebie jak z gąbki cała martwiejąca okolica, stoisz na straży pamiątek kościoła przyrody — matki, dajesz schronisko zbiegom, tułaczom i wielbicielom swobody, a nie wiesz, czy jutro raniem nie zadzwoni w tobie po pniach odwiecznych kupiecka, lub inna siekiera, czy nie wedrze się do ciebie człowiek-lupieżca, który szczyścić się będzie, że niesie światło w mroki i głusz ostępy.

Żegnaj lesie w słońcu zadumany!



Marzenie.

Niewypoczęty, a przeciwnie znużony zupełnie obudziłem się po krótkim śnie nocy zimowej. Pracowałem do późna, położyłem się spać z głową pełną szumu i huku domniemań, cyfr i skrupułów,— całą noc we śnie, jak wicher halny, nosiłem się pośród mgławic, gwiazd zmiennych, steroidów, rozżęzczonych świetlistemi pierścieniami, pośród słońc i planet, żywych i umarłych. Zdeptałem, skopałem nogami teorię poznania, obdarszy te ostatnie z jego podartej na strzępy szaty, waliłem w przestrzenie bezmiarów piorunami nadzwyczajnych sił. Raptem zawadziłem nogą o jakiś marny, toczący się bolid, wywróciłem się... i obudziłem.

Przez szyby mego okna zaglądał do mnie ciekawie pogodny, słoneczny dzień zimowy. Mróz musiał być niezły, bo szyby, ubrane w iskrzące się w promieniu słońca dendryty, przedstawiały

isticie brukselskie koronki najróżnorodniejszych
 okiści, gałązek, kwiatów i gwiazd. Na stole stał
 kipiący na maszynie naftowej imbryk z herbatą,
 z dziobka którego słupkiem unosiła się w górę
 para. Siadłem nawpół ubrany przy stole i, za-
 miast pić gorącą herbatę, zapatrzyłem się w słup
 pary, w iskrzące się w słońcu dendryty, w pro-
 mień drobniutkich, mieniących się i wirujących
 pyłków, których świetlana smuga szła z promie-
 niem słońca od okna do podłogi,— zapatrzyłem
 się i zadumałem. W oczach poczęły mi wirować
 mirjady drobniutkich atomów, iskrzących się
 i świecących wszystkimi odcieniami tęczy. Mię-
 dzy niemi toczyły się i skakały kulki, podrygujące
 śmiesznie, jak krople wody na rozpalonej blasze
 i jak te ostatnie — otulające się lubieżnie w ma-
 łe obłoczki pary. Niektóre z tych kulek pękały
 z hukiem i rozpraszały się w całe obłoczki drob-
 niutkich iskierek, inne stawały nagle w tańcu —
 jak gromem rażone,— momentalnie zmieniały się
 w sześciopromienne gwiazdki i świeciły długo
 na miejscu, jak djamenty. A ze wszystkich stron
 wokoło, w przejrzystej, cichej i jasnej przestrze-
 ni bez końca i początku, szybowały, pędziły, to-
 czyły się mirjady świetlistych atomów. Był to
 raczej jakiś zaczarowany, bajeczny taniec, w któ-
 rym wszystko szalało i niosło się w przestwo-
 rzu jednolicie i rytmicznie. Z powiek mi spadły
 ziarnka maku Morfeuszowego, źrenice poczęły
 się rozszerzać i ujrzałem, że każdy taki atomik
 ma postać, kształty, figurkę. Były tam koboldy,
 elfy, krasulki, wodniczki, które w powiewnym

i migotliwym tańcu zaczęły tworzyć figury i koła taneczne...

Oto olbrzymie koło gnomów, z tysiącem kólek w środku, rozplynęło się gdzieś w oddali w szarej, a pękatej postaci, oto masa elfów zbiła się w wielką mgławicę, która poczęła powoli przybierać kształt świecącego obłoczka, a ten świecił, skakał podrygiwał, zanim nie ostygł, nie ściemniał i nie zmienił się w czaszkę ludzką, która z jakimś dziwnym uśmiechem poczęła krążyć spiralnie koło ogromnej gromady zbijających się w kupę — stłoczonych i wylękłych krasulców... Oto znów wicherki rozszalałych tańcem atomów potworzyły świetne, żywe kręgi wokół obłoczków i kulek ciemniejących...

Tam znów całe gromadki z rozwianej długiej wstęgi taneczników zaczęły się formować w oddzielne koła, wirujące naokoło siebie w ścisłym porządku i odległości...

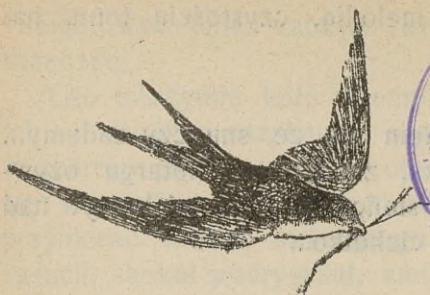
Nie jednako jasno było w tej przestrzeni, która mimo że najzupełniej była przejrzysta, stała przedemną jak jakaś czarodziejska, niedościgną w delikatności swej tkaniny gaza. Tu światła gasły, tam znów się zapalały, jakby je niosły gromadki taneczników...

Oczy me poczęły pieścić brawurę i nadzwyczajny porządek tańca wśród kólek atomów, — utonąłem głębiej i począłem w niezmiernej jakiejś tęsknocie, graniczącej z bólem serdecznym, wypatrywać i wysłuchiwać wodzireja... muzyki... Słyszę... słyszę... dzwoni nadziejska jak tysiąc harf eolów... słodka, cicha, harmonijna,

a taka potężna melodją, czystością tonu, na-
strojem!!

.

W tym ocknąłem się ze snu czy zadumy...
To... Mała muszka, zbudzona z letargu ożyw-
czym promieniem słońca, poczęła mi krążyć nad
głową i brzęczyć cichutko...



Wiosna idzie!..

Na świecie smutek, nuda, szaruga. — Na świecie noc i mgły. — W martwocie nocnej sennego miasta wstają czary i widziadła... Do więzienia mego żywota przez ściany dochodzą z bajecznych kresów jakieś dźwięki tajemnicze, nieznanne... O szyby mojej celki smętniczej uderza słaby promyczek jakiegoś światelka... może zarania...

Serce w piersi się tłucze, jak ptak w klatce hańbiącej... Hej! otwórzcie mi ciemnicę, dajcie lecieć w pole ptakiem, gdzie w zorzankach i tęsknicach wstaje z morza Wiosna jasna!..

*

*

*

Cichutko! Cicho!. Przytulcie do się główki ptaki tułacze... mgiełki osmętnice, dumki płasawice... Wiosenka idzie już!.. Wiosenka...

Idzie w srebrnych mgłach skąpana, zorzankami rozteńczona, idzie lśniąca łzami czarów, rozświetlona i marząca...

Nad główką jej gloriętkę świętą roztoczył ten modry polski świtanek, a brzask jej szaty fałdziste rozwinął het daleko w płasy mgliste po polach i zagonach...

Idzie sobie ta dziewoja, ta od bieli lilji bilsza, mazowiecka pani cudna, przez cmentarne głuche ziemie, przez zamarźle głodne pola, przez splakane wioski, sioła... przez rozpaczny padół krainy smutku i niedoli...

*

*

*

Ścielą się do nóg jej wierzby puszyste, wyrastają na przyjęcie jej śladów ubożuchne trawki i śnieżyczki... Krzyże czarne na rozstajach wyciągają do niej swe ramiona... Bór jej szepce psalmy tajemnicze! A w nocy dzwony same dzwonią na wieżycach dziwnie... cicho...

A ona idzie hej! światem... przez zagony... prosto... Ze zwojów szat powiewnych wypuszcza roje jaskółek chyżych, świegotliwych, z rąk sypie kwiatów pierwiosnki, z ócz śle zorze złociste, a tchnieniem usteczek śle na światy wiewy żywiące, balsamiczne, oddechy życia i sny szczęścia...

*

*

*

Bywaj ziemio — matko, karmicielko!..
Ziemia też i wstaje. Mgłami łąk przeciera oczy, pacierz szepce wód strumieniem, tchnieniem lasów ziewa senna... Wstawaj matko! Idzie świt!..
A tu jeszcze z dalekich, kresowych, z gór białogłowych — z naszych Tatr przyleciał w goście — halny wiatr!..

Rozpętał mocarny zuch bezwładne, niewolne w okowach lodu rzeki i jeziora, osuszył łzawe kałuże na ziemi-matce i uderzył pieśnią, pieśnią zbójniczą w śpiący bór!..

A ten ci się rozgwarzył, rozszumiał, że aż krzyż czarny z rozstajów zaskrzypiał zdumiony!..

*

*

*

I poszedł ci po onej ziemi, po onej Polsce ukochanej taki wiosennym zaraniem pogwar i gędba tajemna jakowejs pieśni dalekiej, że do posłuchu wszystko wstawać zaczęło!..

Niewidzialne dotąd kwiatki wychyliły z ziemi łona na świat ciekawe główki, zaświergoliła i zagwarzyła na starej wierzbie rzesza skrzydlata, rozwarły się na oścież bramy kościołów, wrota cmentarzy... rozwarły się cicho dusze splekane. A wiosenka idzie światem... naprzód wciąż, coraz bardziej rozświetlona — i sypie kwiaty, wypuszcza ptaki, sieje miłość i życie...

A na jej szaty padają djamenty ros poran-nych i perły łez z ócz — rozdumanych dolą.

*

*

*

Hej! mój bór... mój stary dumny bór!.. Stoi ci on skamieniały, czarny, tajemniczy — jak huf zaklęty skrzydlatych rycerzy. Lecz oto uderzył o niego wiatr... Bór się rozszumiał, rozgadał, rozmruczał... Baję stary pleciucha, urywa w pół słowa... to szept pacierzy w nim słyhać, to jakaś baśń dziadowska śpiewnym gadana głosem, — to skarga zaszemrała znów niedomówiona...

*

*

*

Idzie wieść daleka... od tych grobów zarosłych powstańczych, co w głębi boru do dziś kryć się muszą przed słońcem... od tych krzyżów nieznanymi, tajemniczymi, od tych uroczysk i żalników... od tych znaków odwiecznych, po boru rozrzuconych przeszłości ręką... idzie wieść...

Że gdzieś daleko — pod krzyżem omszałym na rozstaju siedzi w pokutnej szacie starucha zgrzybiała, szara, smutna i zgięta...

Krzyż rękami objęła — oczy bólem przymknięte... Leczą się świeci... starucha... jak święta...

A na okół czuwają śpiące duchy rycerzy i zozre — pogasłe na szczytach drzew!..

To Polska marzy i czeka w puszczy ostępie — a do niej idzie przez lasy — gdzieś het jeszcze daleko — jasna córuchna serdeczna — Wiosenka!.. Idzie z piosenką — weselem i śmiechem!..

*

*

*

Dzwonią mi dzwonki liljowe, śmieją się do mnie stokrotki figlarne, a wysmukła bledziutka konwalijka spuściła wstydliwie główkę i nie chce powiedzieć, co słyhać w podszytych wonną wilgocią nadziemnych gąstewkach lasu...

Czy skonały we własnych zapachach ostatnie fijołki, czy skuliły seledynowe główki pierwiosnki rzewne?.. Co u was słyhać — Boże służki — w waszym światku czarownym?..

Jakie wieści, jakie dumki, nowiny?

Słyszę!.. Gromadka omarlic i grobarzy chowa

z pośpiechem pod ziemię zmarłego dzwońca, który padł z wycieńczenia, śpiesząc do rodzinnego kraju z daleka. Małe serduszko pękło nadzarte tęsknotą...

Lecz wrócił pieśniarz z wiosenką i piosenką!..
Lulaj że luli na ziemi — matuli!

*

*

*

Tak mi pachnie życie!.. Jakieś przejmują duszę dziwne dreszcze... Rwie mi się serce utęsknione do Ciebie, Ty cudna polska Wiosenko!... I tak Cię w duszy witam, jak nowe jasne mojej ziemi życie!..



SPIS RZECZY.

	<i>Str</i>
„Twoje ziemie—twoje wody”	5
Nad Popradem	11
Na Czarnohorę	17
Howerla	38
Z Połagi	41
Królewskim szlakiem	46
Nad Prądnikiem	56
Ammonity	64
Baublis	68
W lesie	73
Marzenie	80
Wiosna idzie	84

80 - 2



BIBLIOTEKA GŁÓWNA

37 854

PK 349/83 - 100 000 egz.

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297034